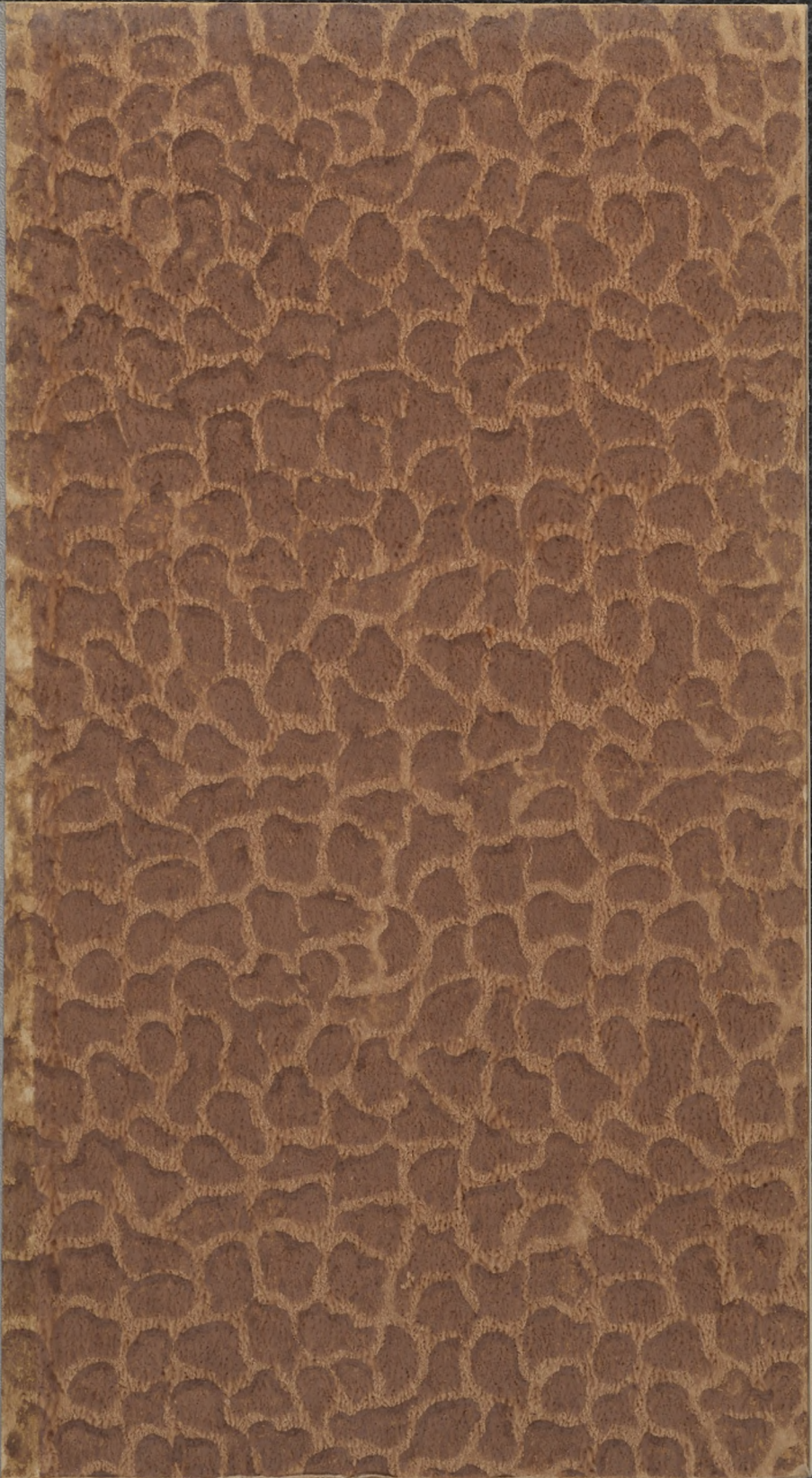
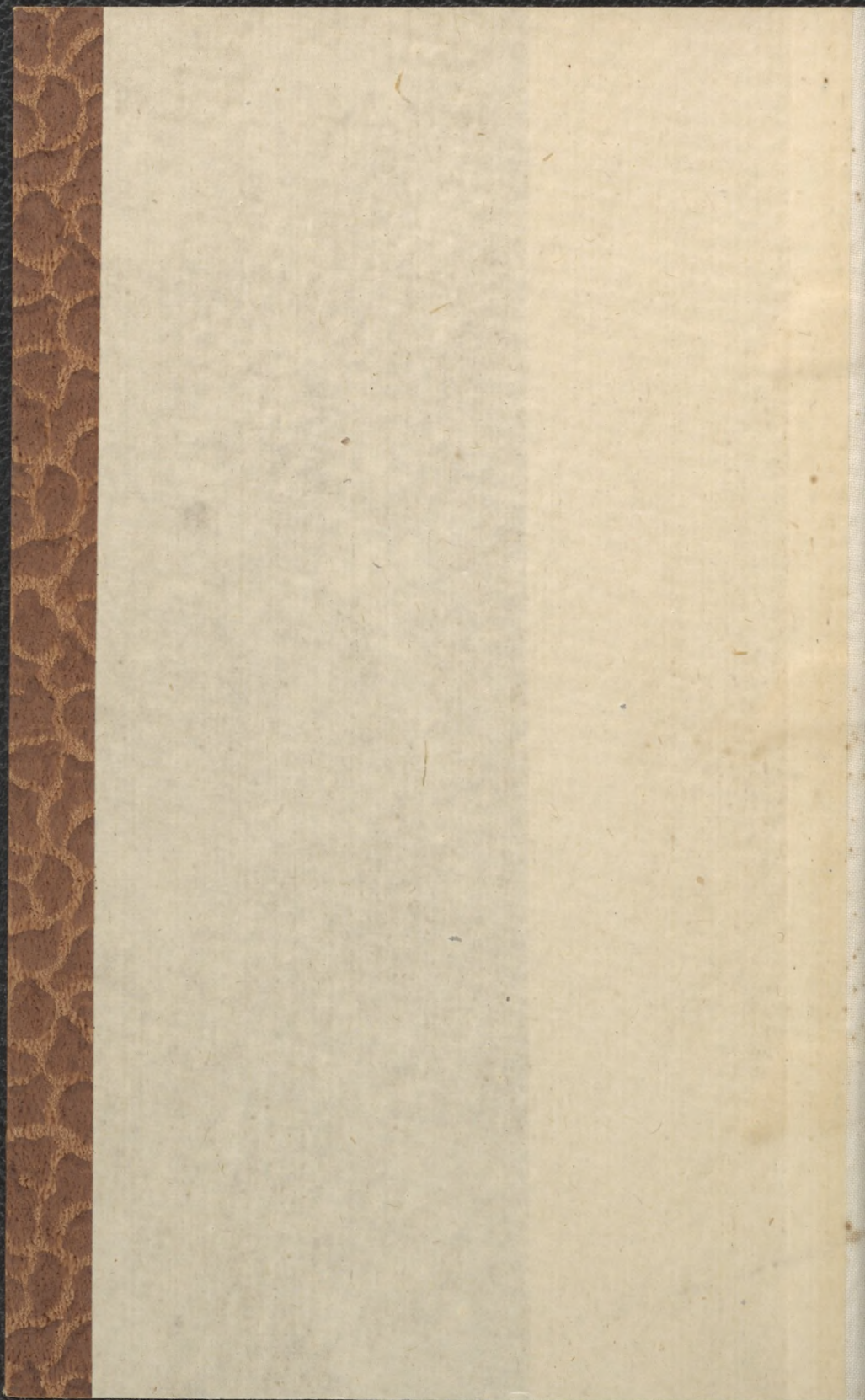
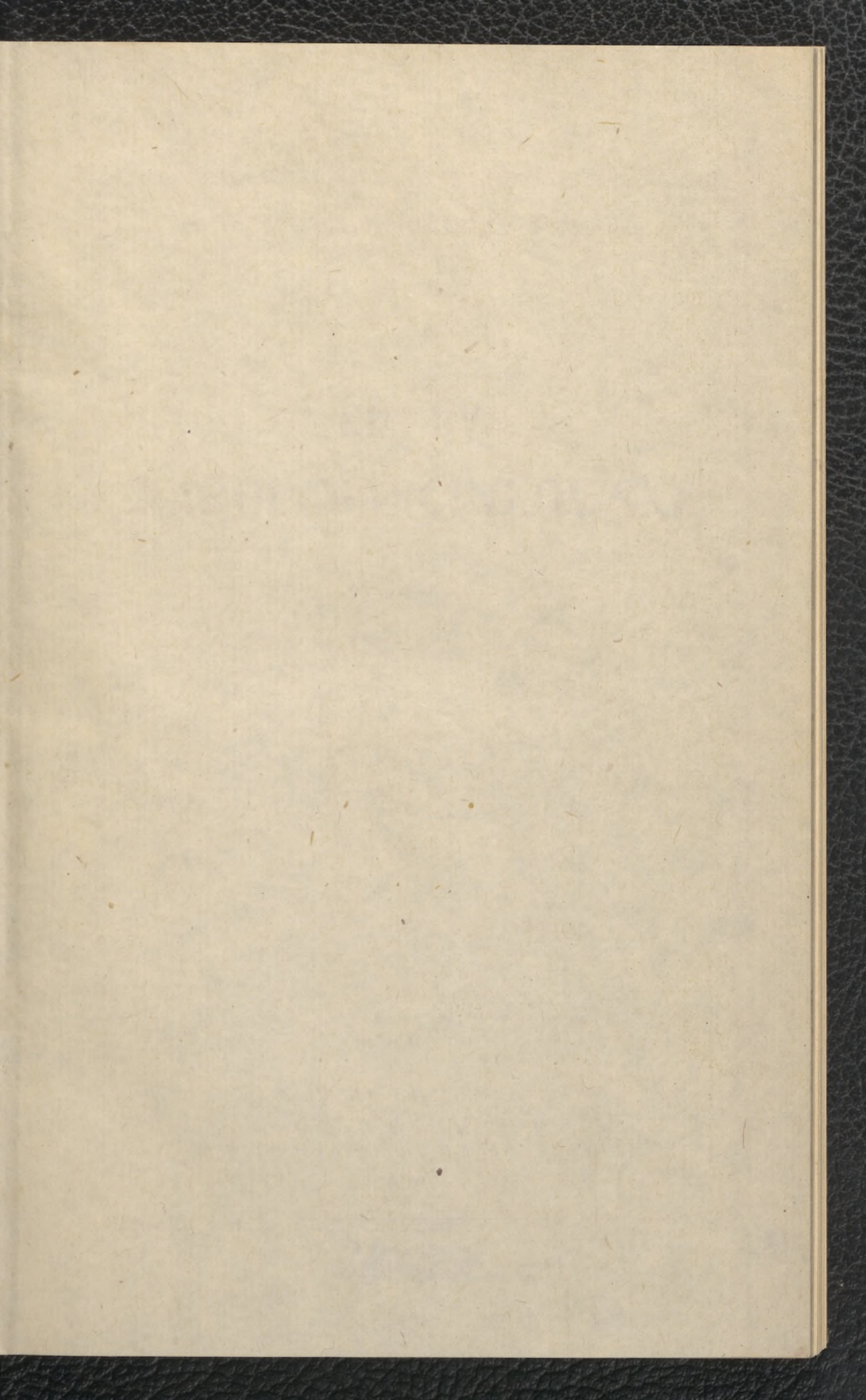
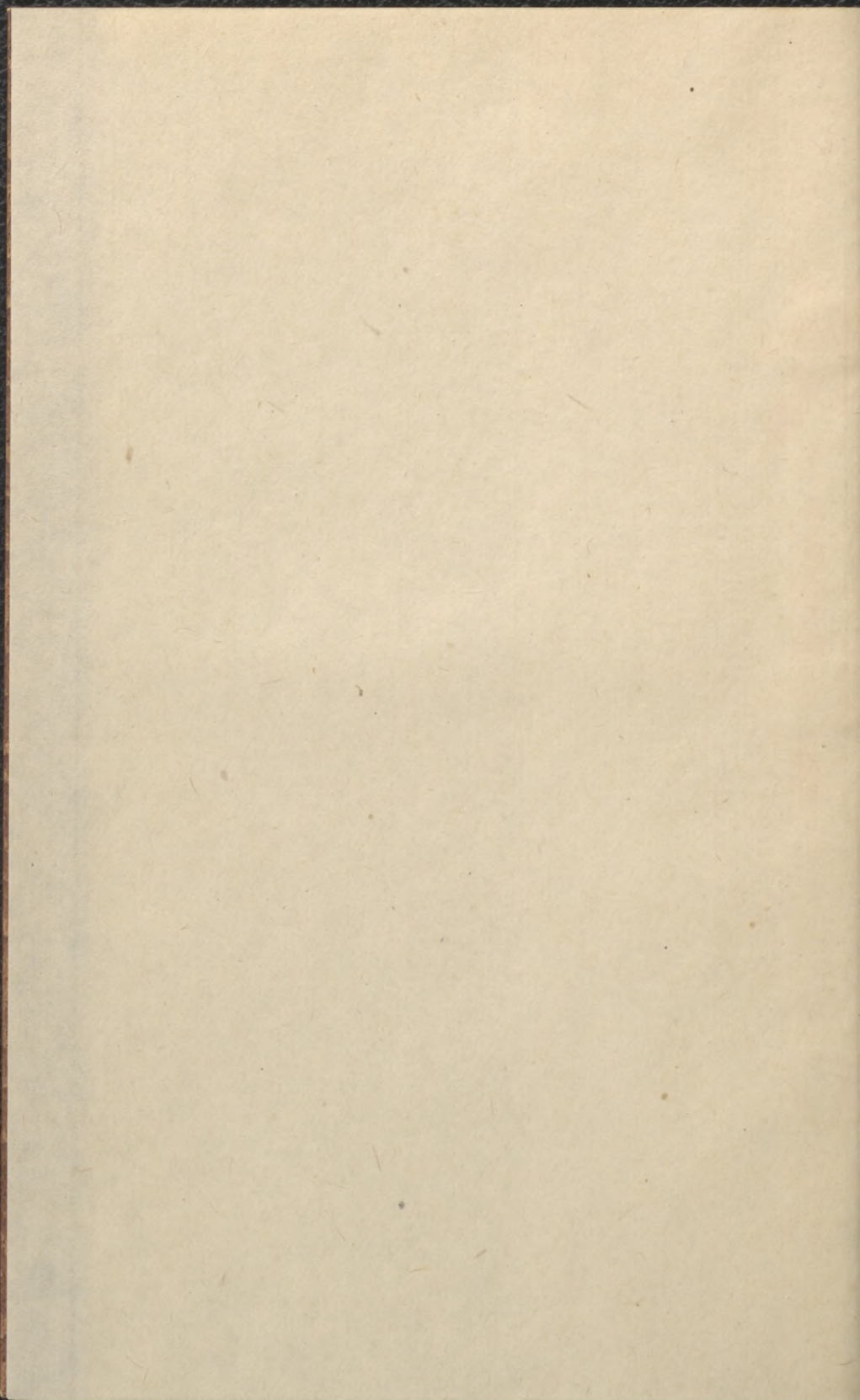


95616









II. 95. 616

o

4400

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 81.

KIM BYŁ KAROL MARCINKOWSKI?

NAPISAŁA

HELENA RZEPECKA.

W sromotnej dobie duchowego głodu
Sercu i głowie sprzęgłeś do obrony.
Tys nieśmiertelność zdobył dla narodu,
A więc na wieki bądź błogosławiony!

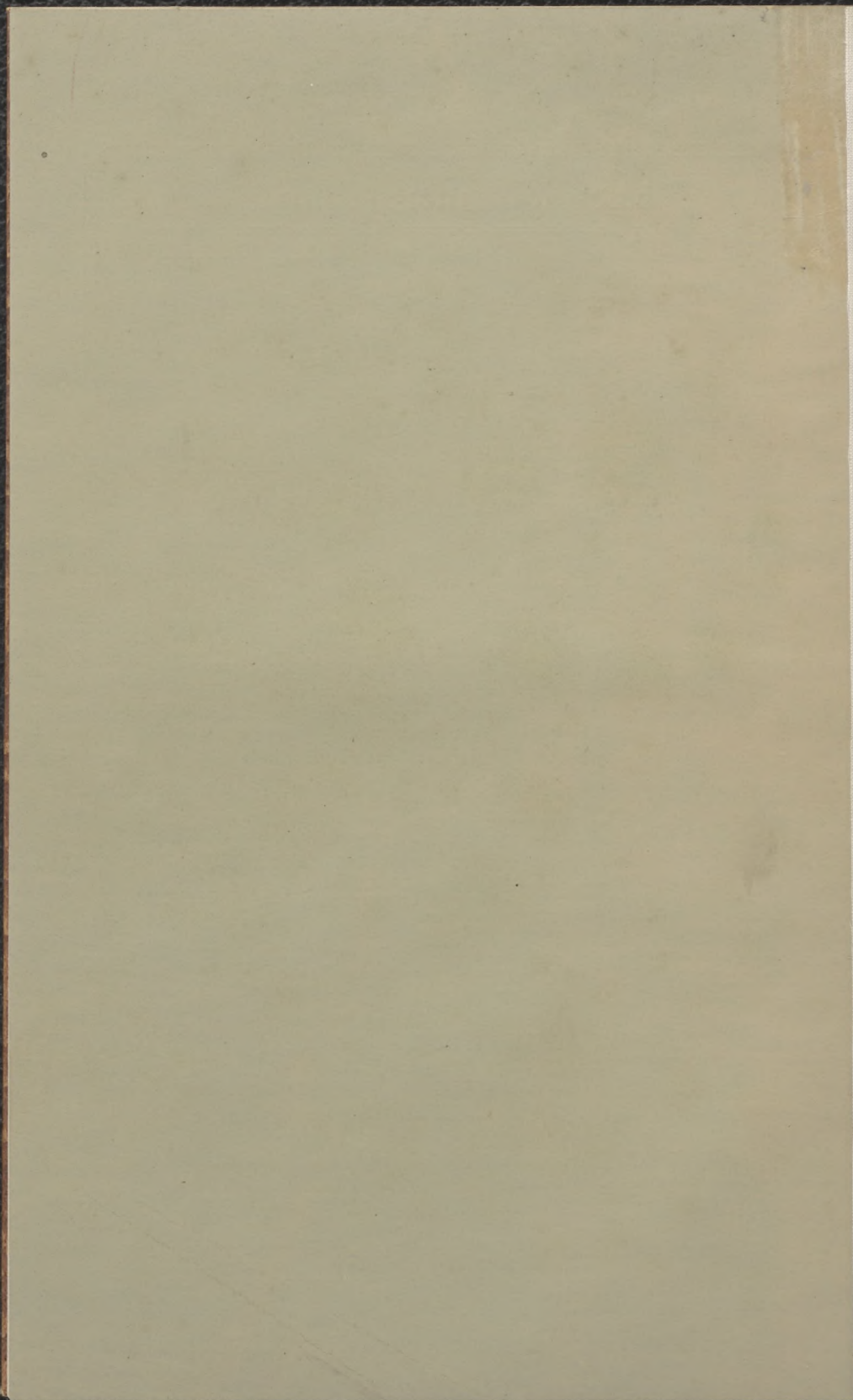


WE LWOWIE
MACIERZ POLSKA
ADMINISTRACJA W GMACHU SEJMOWYM
1913

Gen. I. 10

150

1-



**KIM BYŁ
KAROL MARCINKOWSKI?**

NAPISAŁA

HELENA RZEPECKA.

W sromotnej dobie duchowego głodu
Serca i głowy sprzęgleś do obrony.
Tyś nieśmiertelność zdobył dla narodu,
A więc na wieki bądź błogosławiony!



WE LWOWIE
MACIERZ POLSKA
ADMINISTRACYA W GMACHU SEJMOWYM
1913

ZRÓDŁA:

H. Cegielski: Życie i zasługi doktora Karola Marcinkowskiego. Poznań 1866.

»Przyjaciół ludu« leszczyński. Rocznik 1846 i 1847.

Dr. J. Zielewicz: Żywot Karola Marcinkowskiego. Poznań 1891 r.

Dr. J. Zielewicz: Nowe przyczynki do życiorysu doktora Karola Marcinkowskiego, na źródłach archiwalnych osnute. Poznań 1908 r.

J. L.: Życie i zasługi Karola Marcinkowskiego z okazji 50-tej rocznicy Tow. Pomocy Naukowej w Poznaniu. Poznań 1891.

Gazety i dzienniki ówczesne i późniejsze.



II. 95.616

I.

W DOMU I W SZKOLE.

Paść może i naród wielki —
Zginać tylko — nikiemny.

Stanisław Staszyc.

Pięć lat już stolica Wielkopolski pod pruskimi była rządami, kiedy w Poznaniu urodził się człowiek, który miał zostać wielkim dobroczyńcą swych ziomków.

Nie było wtedy w Polsce wesoło, bo w trzech zaborach zastosowywać musieliśmy się z konieczności do nowych panów, a rządy zmieniały się co chwila. Wszyscy już wiemy, że wtedy to na zachodzie Europy, we Francji, powstał mąż, którego poeta Mickiewicz nazwie potem »bożem wojny«. Wódz ten, wtenczas jeszcze generał Bonaparte, późniejszy Napoleon Wielki, walczył przeciwko wrogom francuskiej republiki, a my Polacy zaciągnęliśmy się w utworzone wtedy przez Dąbrowskiego osobne legiony i walczyliśmy razem z Francuzami. Ufaliśmy bowiem, że tem pomaganiem Francuzom do zwyciężania, zapomocą tego narodu wywalczymy też i straconą niepodległość naszej Ojczyzny. Któż bowiem i na chwilę byłby wątpił o tem, iż naród nasz bytu politycznego niebawem nie odzyska?

Poznań o tyle wtedy mniej był nieszczęśliwym, iż razem ze sercem Polski, z Warszawą, złączony był pod jednym panowaniem, bo Prusak zabrał był i Mazowsze po Wisłę. Galicya jęczała już pod uciskiem niemczycieli. Ale wszędzie była ufna nadzieja, iż losy nasze się polepszą.

Na wojaczkę w świat wyszła przeważnie młodzież szlachecka i wiejska, mieszczanin zrzadka który chwycił za karabin lub dosiadł konia. Niewiele jednak czasu upłyne, a zobaczymy, że i młodzież mieszczańska poczuje w sobie ducha bohaterów.

Prastary gród Przemysława, królewskie miasto Poznań, bo i ono miało i po dziś dzień ma jeszcze zamek z dawnych czasów, Poznań nie był już wtedy tak wspaniałym i zamożnym, jak poprzednio za Jagiellonów, bo go wojny szwedzkie i przechody wojsk różnych za Sasów i późniejsze bardzo wyniszczyły. Chował on jednak święcie pierwsze narodu pamiątki, ustrzegł prochy pierwszych królów naszych, wielkich Mieczysława i Bolesława. Był strażnicą od zachodu — nad Wartą stał na warcie. Co do obszaru nie był on tak rozległym, jak dzisiaj, więc życie jego wychodziło także poza mury dawniejszej twierdzy obronnej, na przedmieścia.

Na jednym z takich przedmieść, w dzielnicy dokola kościółka św. Wojciecha, mieszczaninowi poznańskiemu, Józefowi Marcinkowskiemu, w domu pod ówczesną liczbą 91, dnia 23. czerwca 1800 roku urodził się syn, który otrzymał imię Jana Chrzyciciela i Karola. Że jednak w rodzinie już jeden brat był Janem, więc młodszego mianować w domu zaczęto drugim imieniem, i pod tem to imieniem dzisiaj Polska Marcinkowskiego ze czcią wspomina.

Skromnie było w tem gnieździe rodzinnem, ale uczciwie i chędogo. Ojciec był na dorobku, miał jadłodajnię i mały mielcuch, w którym piwo warzył, wynajmował też podwozy i wkrótce tak się dorobił, że wziął sobie dzierżawę rolną, na której jednak wkrótce umarł. Dzieci starannie chowała matka, Agnieszka z Kopickich, i ona to zawczasu starszych synków posyłała do szkoły klasztornej,

tak zwanej reformackiej. Gdy Karolek skończył lat dziesięć, oddany został do szkoły średniej, polskiej jeszcze wtedy na szczęście.

Bo tymczasem w Poznaniu i w Polsce nastały czasy inne, znacznie weselsze. Pobici zostali przez Napoleona i Polaków pod Jeną Prusacy; w same imieniny Karolka, roku 1806, do Poznania wkroczyli zwycięscy Francuzi. Tuż za nimi pod Dąbrowskim z ziemi włoskiej do polskiej i do grodu wielkopolskiego przymaszerowali i nasi legioniści. Napoleon r. 1807 z części Polski, Prusakom odebranej, utworzył tak zwane W. Księstwo Warszawskie.

Weselej u nas, bo odzyskaliśmy kawał ziemi, mamy swój własny rząd i ministrów, własne wojsko, a więc też i własne szkoły. Mały Marcinkowski uczy się w szkole, która poprzednio przez lat dwieście była kollegium jezuickim, potem »szkołą narodową«, a wreszcie otrzymała z francuska nazwę szkoły »departamentowej«, tyle co okręgowej.

Kiedy nasi wodzowie i żołnierze, a wśród nich pisarze i poeci, jak n. p. Andrzej Brodziński, Julian Ursyn Niemcewicz, Franciszek Morawski, nasi bohaterzy, jak Poniatowski, Dąbrowski, Fiszer, roku 1812 poszli na wielką »drugą polską wojnę« — kiedy Adam Mickiewicz, jako czternastoletni chłopiec, radosnem sercem patrzył na te ciągnące przez Nowogródek wspaniałe wojska naszego zastępy, to nasz Karolek, jako dziecko na ławie szkolnej, nie mógł sobie jeszcze jasno zdać sprawy z tego, co się dokoła niego i w ojczyźnie działo.

Nie rozumiał — ale odczuwał, głęboko czuł a gorąco. Bo był chłopcem usposobienia bardzo żywego, pobudliwego, gdyż w świadectwie szkolnem napisano mu, iż był »krwisto-cholerycznym«.

Już to dla rodziców zwykle lepszą jest wróżba, gdy mają dzieci usposobienia żywego, bo przy rozsądnem a starrannem wychowaniu łatwiej popędliwego chłopca okiełznać i usatkwować, aniżeli z dziecka opieszalego, ociężalego wychować człowieka Bogu na chwałę, a ojczyźnie na pożytek.

Sprawdziło się to na małym Karolku, który, jak to mówią, »ciekawym był do nauki«, a miał »głowę otwartą«, bo w klasach celował, nagrody innym rówieśnikom zabierał. A jak później tego swego pobudliwego usposobienia zużyje na dobro drugich, to cały jego żywot wykaże.

Kiedy młody Karol w naukach podstawowych już był dojrzałym, inaczej: zdawał »maturę«, a jak u nas w Poznańskim mówią, składał egzamin abiturystencki, znowu się u nas stosunki polityczne zmieniły, ale niestety nie na lepsze. Przez czas nauki Marcinkowskiego wielka armia Napoleona została rozbita, z dopustu Boga wymrożona i wygłodzona. Nasi szermierze szlachetnie i wytrwale osłaniali odwrót Francuzów i wojsk innych sprzymierzonych narodów. Zgnębiony mocarz Napoleon odjechał nie-dobitki swej armii potajemnie, przemknął się na saniach przez Warszawę, przejechał też i przez Poznań.

Potem też, w obronie czci oręża polskiego i honoru wojskowego zginął we falach Elstery książę Józef Poniatowski. Napoleon przestał być cesarzem, a państwa, które on był potworzył, znowu inaczej ukształtowano.

Wtedy zaborcy już po raz piąty ojczyznę naszej granice i kordony pozmieniali. Prusak odebrał to, co nam przedtem był zabrał, chociaż nie wszystko, bo mu car Aleksander nie chciał oddać Warszawy. I tak Poznań, odcięty od Mazowsza, został stolicą nowo utworzonego W. Księstwa Poznańskiego, gdyż król pruski do swych tytułów władcy dodać chciał jeszcze jakieś osobne mianowanie, któreby oznaczało, iż on także jest panem części ziemi dawnej Rzeczypospolitej naszej.

Jednakże ówczesny król pruski nie zamierzał Niemczyć Polaków — przeciwnie — poręczył nam był wiarę katolicką i język ojczysty, a na znak, iż z Polakami postępować chce uczciwie, na miejsce swoje ustanowił osobnego urzędnika, czyli namiestnika, i to księcia Antoniego Radziwiłła, z którym był spokrewniony przez stryjeczną siostrę, księżniczkę Ludwikę, bratanek tego samego Fryderyka II, który Polskę rozbierał.

Te wypadki dziejowe młodzieniec Marcinkowski rozumiał już zupełnie, bo nie nadaremnie był bystrym i czynnym. Chociaż dzienników politycznych niewiele wtedy u nas jeszcze było, ale młodzież wykształcona słyszała o wszystkim, co się dzieje w Europie, widziała to, na co patrzyła dokoła, na żalobę osieroconych wojnami rodzin, na niedostatek mieszkańców Poznania, na kraj nasz, wojnami wyniszczony.

Marcinkowski znał już wtedy obowiązki prawego Polaka, który dźwignąć ma naród z nieszczęścia. Wiedział, iż do tego potrzeba oświaty, bo sam mądrym winien być ten, kto drugim chce pomódz. A rozsądek młodzieńca musiał już być widocznym i wiedza zasobna, skoro na pożegnaniu się ze szkołą Marcinkowskiemu kazano po łacinie przemawiać o własnościach ciał fizycznych, nauce z dziedziny przyrodniczej.

Ponieważ pierwsza to — po rozruchach wojen napoleońskich — gromadka młodzieży gimnazjum poznańskie opuszczała, więc losem sześciu uczni Polaków zajęli się starsi, zaopiekował się nią także i namiestnik, książe Radziwiłł, który mieszkał tuż obok szkoły, bo w gmachu pojezuickim, a z nauczycielami młodzieży ściśle utrzymywał stosunki. Dla najlepszych uczni były też przez rząd wyznaczone zapomogi, dość znaczne fundusze, za które młodzieńcy kształcić się mogli dalej na wyższych uczelniach, inaczej wszechnicach.

I Marcinkowskiemu taki zasilek pieniężny na dalszą naukę przypadł w udziale, ale młodzieniec nasz jakby »w czepku się rodził«, bo wyjątkowe spotkało go szczęście u progu życia studenckiego. Zamożny obywatel, Eustachy Grabski, zaopiekował się Marcinkowskim i w testamencie zapisał mu 1800 pruskich talarów, czyli blisko pięć tysięcy koron, aby Marcinkowski uniwersytet bez troski pieniężnej mógł przebyć.

Z początku Karol zamierzał zostać nauczycielem, potem jednakże zamiar zmienił i postanowił zostać lekarzem. Ale choć nie uczył potem młodzieży, na ławach szkolnych

siedzącej, to jednak zobaczymy, iż Marcinkowski będzie nauczycielem, i to doskonałym, bo współobywateli swoich uczyć będzie miłości ojczyzny w czynie, będzie nauczał gospodarstwa społecznego. Wpoi też w nas cnoty, do szczęścia niezbędne, bez których żaden naród istnieć i rozwijać się nie może, przekona nas o wartości oświaty, nauczy nas ustawicznej pracy.

Jesienią r. 1817 Marcinkowski zaczyna naukę medycyny na uniwersytecie berlińskim. Żeby się utrzymać, musi jednak zarabiać daniem lekcyi prywatnych, bo legat Grabskiego go nie doszedł. Lata następnego musi leczyć się w uzdrowisku Salzbrunn, na Śląsku, gdyż w młodych płucach zjawia się gość niepożądany: zastarzały nieżyt, który stanie się później powodem przewlekłego cierpienia. Dolegliwość ta nie obniża jednak polotu myśli młodzieńca, ani też studzi żar jego zapalu. Żyje on pełnią ducha i kształci nietylko umysł, ale gromadzi skarby uczucia, które już wtedy na przyjaciół i braci-kolegów przelewa.

II.

CZASY MŁODZIEŃCZE.

Święta miłości kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe.
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.
Kształcisz kalectwo przez szlachetne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe.
Byle cię tylko wspomódz, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

Tak pięknie o miłości ojczyzny, inaczej patriotyzmie, wyraził się ksiądz biskup Krasicki w »Hymnie«, ułożonym r. 1772, a więc krótko po pierwszym kraju rozbiorze. Deklamowano go z płaczem, a kadeci warszawscy, uczniowie szkoły wojskowej, codziennie go śpiewali. We wielkiej sali pałacowej na ścianie hymn był wypisany. I późniejsza młodzież nasza, nawet młodzież szkół ludowych, знаła go z książek podręcznych tam, gdzie szkoły te narodowe, w wolnej Polsce założone, jeszcze się ostały. Drukowano go nawet w elementarzach, aby wszyscy to przykazanie poznali i ojczyznę nietylko ukochali, ale też dla niej cierpieć umieli.

U młodzieży wykształceńszej zwrotka ta stała się hasłem!

Tę »świętą miłość« chowa też »pocziwy«, co tutaj znaczy wzniosły, szlachetny umysł młodego Karola, wtedy, gdy w Berlinie styka się z kolegami innych zaborów, którzy na naukę równocześnie przybyli. Uczucia młodzieży zasilają też jeszcze najnowsze nasze czyny bohaterskie za wojen napoleońskich, podsycala je poezya legionistów, utwory poety Alojzego Felińskiego, jego hymn: »Boże, coś Polskę«, w tym czasie ułożony. Krzepiły ją pisma Naruszewicza, Niemcewicza i natchnione słowa kaznodziejskie Woronicza.

Wtedy to przez Polskę przeszedł znów jęk dzwonów żałobnych. Na wolnej ziemi Helwetów, w Solurze, złożono do grobu śmiertelne szczątki »naczelnika w siermiedze«, nieśmiertelnego Tadeusza Kościuszki. Wydarzenie to odnowiło w sercach naszych żal i tęsknotę, podsyciło zwłaszcza uczucia młodzieży, która pragnęła pójść śladami tego Polaka bez skazy. Młodzież wspominała czasy warszawskiej szkoły rycerskiej, odświeżała jej »Katechizm kadetów«, czego dowodem pozdrowienia, jakimi się studenci nasi poufnie witali. Spotkawszy się, takie wymieniali hasła związkowe:

- Co cię zajmuje?
- Myśl Ignacego Potockiego.
- W jakim duchu?
- Hugona Kollątaja.
- W jakim zamiarze?
- W zamiarze nieśmiertelnego Kościuszki.

Duch patryotyczny ożywiał wtedy jednak młodzież całej Europy. Niemiecka młodzież pamiętała, jak to młody poeta Körner poległ w obronie swojej ojczyzny, jak na jego hasło cała młodzież poczuła w sobie ducha i wroga wypędzić pomogła. Ale potem też studenci niemieccy nie zaniechali myśli wolnościowej. Dążyli do swobody obywatelskiej, chcieli, by wolność stała się udziałem każdego Niemca. Czując swą siłę, młodzież niemiecka nie zaniechała dążenia do prawdziwego wyzwolenia narodu. Nie mogąc dążeń swych bezkarnie wyjawić, pozawiażywała

się w stowarzyszenia polityczne, aby później łatwiej już opanować umysły ludu, a od rządów domagać się uobywatelenia wszystkich stanów.

Bo Niemcy w swoich państwach i państewkach nie byli jeszcze doszli do tej, co Polacy, dojrzałości politycznej, kiedy to na ówieré wieku przedtem nasze stany sejmujące, z królem na czele, dobrowolnie ustanowiły, że w Polsce wszyscy obywatele wobec prawa są równi. Żaden naród nas w tem nie uprzedził — nie zniósł przywilejów stanowych, tak jak nasza ustawa rządowa z dnia trzeciego maja 1791 roku, inaczej nasza »Konstytucya«. W Niemczech ucisk trwał dalej — więc nic dziwnego, że ludzie szlachetniej myślący chcieli rodaków swoich z jarzma poddaństwa uwolnić jak najwcześniej. Rząd znowu chciał wiedzieć, co jego poddani myślą, czy prawo, i co zamierzają, dlatego łączenia się młodzieży w związki zakazał surowo. Studentów śledził, podpatrywał, podejrzanym wytaczał procesy o zdradę państwowego rządu, inaczej stanu, karał długiem więzieniem i wydalaniem ze szkół wyższych.

Taki strach padł wtedy na poszczególne rządy niemieckie, że sejm tych państw związkowych, inaczej bundstag niemiecki, ustanowił osobną do tych spraw młodzieży komisję śledczą, która tropić miała, czy młodzież spisków politycznych nie knuje. Co więcej, każdy z uniwersytetów niemieckich dostał osobnego opiekuna, komisarza, który, jakoby »anioł-stróż«, miał śledzić, co robią i myślą nie tylko studenci, ale nawet i — profesorzy.

Dlaczego tu o tem mówimy?

Bo w tych samych warunkach żyć i uczyć się musi młodzież polska zaboru pruskiego, której w Berlinie znalazła się spora gromadka, chociaż nie brakło tam i studentów z poza kordonu rosyjskiego, z Warszawy i z Galicyi. Ma się rozumieć, że nasi »akademycy«, jak wtenczas studentów uniwersytetu nazywano, że młodzież nasza, nasłuchawszy się niemieckich wykładów, do obranego zawodu potrzebnych, przynajmniej raz w tydzień zbierała się regularnie. Oczywiście złączyła się też w koło ściśle poufne,

w którym nie mówiła o sprawach niemieckich, tylko dzieliła się nowinami z ojczyzny, boć ona chwilowo tylko przebywała na obczyźnie, dla nauki, a potem wracać miała na życie i pracę dla kraju. Młodzieńcy nasi wiedzieli też, co się dzieje wśród młodzieży warszawskiej, a zwłaszcza tej szlachetnej wileńskiej, gdzie to cnotliwy Tomasz Zan jej przywodził, gdzie duch Mickiewicza i pierwociny talentu krzepiły ją do dobrego.

Tkwi już to w naturze młodych, że wolą przestawać z młodymi; starszym rzadko się zwierzą ze swoich poglądów czy zamiarów, ale w swoim kółku są szczerzy, wzajemnie wylani, mówią o urządzeniu sobie życia, marzą o spełnieniu swoich pragnień i dążeń, o tak zwanem dobru najwyższem, o myśli życia doczesnego przewodniej, o tak zwanych ideałach.

Ideałem każdego »umysłu poczciwego« była praca nad odrodzeniem Ojczyzny: »byle się tylko wspomódz, byle wspierać — nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać«.

Młodzieży naszej tymczasem jeszcze ani nędza, ani śmierć nie zagrażały. Studentów berlińskich węszył tylko nos komisarza Schulza, tajnego radcy do odkrywania tajnych związków. I wywęszył! a to zapomocą ówczesnego sędziego uniwersytetu, Krausego.

Pierwszego pod klucz zabrano Królewiaka Ludwika Koehlera, który władzy przyznał się do tego, że utworzył mieszany z Polaków i Niemców »Związek przyjacielski« z hasłem: »Panta koina«, co znaczy: »wszystko wspólne«. Brany na spytki, Koehler przyznawał się do wszystkiego; między innymi zeznał, iż wśród młodzieży naszej istniało stowarzyszenie tajne, koło, do którego i on przyjętym został. Biedaczysko wymienił 34 członków tegoż związku młodzieży, którzy albo poprzednio, albo wtedy jeszcze uczyli się w Berlinie. Co prawda, Koehler z więzienia śledczego ostrzegł był kolegów swoich i na ręce Marcinkowskiego wysłał był karteczkę, tak, że nasi studenci poniszczyć mogli istniejące dowody stowarzyszenia, popalić papiery, poniszczyć odznaki, t. j. amarantowo-białe kokardy.

Ale to na nie się już zdało. Skoro Koehler nazwiska kolegów władzy wydał, to starczyło.

Koehler prawego był umysłu, kłamać nie chciał — ale jako chłopak młody nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo »zjadłemi truciznami« i jak wielu młodzieńców napawać się będzie przez długie miesiące kaźni więziennej. Biedak sam skazany został na sześć lat twierdzy w procesie, jaki wytoczono jego mieszanemu z niemiec-
kimi burszami związkowi.

Naszemu związkowi nie lepiej się powiodło.

Znamy zapewne wszyscy obraz wielki a piękny, który znajduje się we lwowskiej sali ratuszowej. Malarz przedstawił tam postać niewiasty umęczonej, do krzyża przybitej, a z nim do skały przykutej, dźwigającej ciężkie okowy. Wywyższona postać z głową w otoku spogląda w górę, skąd wyzwolenia wyczekuje, a u stóp jej, dokoła, otaczają niewiastę synowie, którzy dla wyzwolenia jej żyli i zginęli, dla dobra ludu pracowali. Cały ten naród pracowników męczennicę otacza.

Kto nie widział obrazu, przez Jana Stykę wymalowanego, ten zna go z odbitki, czy innej ryciny, i wnet zawoła:

— To Polonia — Polska! Tak ją wieszczowie nasi słowem opiewali, tę Polskę, umęczoną za wolność własną i innych narodów.

»Polonią« też prosto i słusznie nazwało się stowarzyszenie młodzieńców naszych, choć do tej nazwy nie mogli jeszcze przywiązywać zupełnie tego samego, co Styka, znaczenia. Ideę tę, że Polska jak Chrystus cierpiała i cierpieć na krzyżu ma na to, aby swą męką dać zadatek wolności narodów, tę ideę zbawczą, inaczej mesyaniczną, w poezyi naszej dopiero za lat kilkanaście rozwinie Mickiewicz, a za nim inni wieszczowie.

Co nasza młodzież z drugiego dziesiątku wieku XIX miała na myśli wtedy, gdy sobie tę prostą nazwę nadała, o tem niebawem przekonamy się z ust samego Karola Marcinkowskiego.



Koehler uwięziony już był w nocy z 10. na 11. lutego r. 1822. Zabrano mu wszystkie papiery i zaczęto na niemieckie tłumaczyć. »Porwanie« w nocy studenta oburzyło bardzo kolegów, którzy, nie mając nigdy zamiaru wywracania państwa pruskiego, słusznie obruszali się na »aniola-stróża«, Krausego. Dwóch naszych w teatrze berlińskim urządziło mu nawet jakąś awanturę, za co ich ze stolicy wydalono. Nazwiska ich: Gustaw Potworowski i Erazm Stablewski. To przyjaciele i przyszli współpracownicy Marcinkowskiego, młodzieńcy, którzy dumni byli z tego, iż Pan Bóg stworzył ich Polakami. W umysłach ich »święta miłość kochanej Ojczyzny gnieździła już prawdziwe rozkosze«.

Zbliżała się jednak chwila, w której i na nich włożą »więzy i pęta«, ale te »niezelżywemi« będą dla tych przyszłych wojowników za wolność i wzorowych kraju obywateli.



III.

PIERWSZE WIĘZIENIE.

Ja stałem na waszego towarzystwa czele,
Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele.

Tak wkrótce podług Mickiewicza powie Tomasz Zan do uwięzionych w klasztorze poddominikańskim druhów wileńskich — będzie chciał wyłącznie siebie całego poświęcić, byle drugich filaretów uratować.

Podobnie i Karol Marcinkowski gotów był potem wziąć na się całą odpowiedzialność za związek »Polonia«, którego był właściwym twórcą i duszą.

Ale i filaretów wydał współtowarzyszony, a tutaj to Koehler jeszcze tak szczerze a niepotrzebnie ze wszystkiego wypowiadał się przed urzędnikiem Frankenbergiem, który poprzednio we Wielkopolsce był zwykłym komisarzem policyjnym od »włóczęgów i złodziei«, a naraz posunięty został do godności radcy dworu (hofrata).

Następnej zaraz nocy, z 15. na 16. marca, zaaresztowano i Karola Marcinkowskiego z pięciu innymi polonistami.

Przesłuchy też od niego rozpoczęto, bo Marcinkowski nie tylko że najstarszy był wiekiem, ale ukończył już był nauki lekarskie, z liczby słuchaczy uniwersytetu już się

był wykreślił, a zaczął składać egzamina państwowe. Zresztą mocą charakteru i zdolnościami Marcinkowski tak się już był wybił ponad innych ziomków, że śledcy odrazu wzięli go za głowę »Polonii«, jak się później dopiero o tem przekonali z papierów, zabranych Koehlerowi.

Przy pierwszych wpytkach Marcinkowski odrazu, oświadczył, iż do winy jakiegokolwiek bądź się nie poczuwa i nie wie, dlaczego aresztowanym został — że do związków, prawem zakazanych, nie należał..

I mógł to oświadczyć sumiennie, bo, jak powtarzamy, »Polonia« nie mieszała się do spraw państwa pruskiego ani też na rządy jego wpływu wywierać nie chciała. »Polonia« Polską się tylko zajmowała.

Ale dobrze wiemy, na kim to zawsze czapka gore!

Że związek polskich studentów istniał, do tego Marcinkowski zrazu przyznać się nie chciał, ze względu nie na siebie, tylko na kolegów. Nie przeczuwał bowiem, iż nierozważny Koehler wszystko już był wyjawił. Skoro jednakże sędzia śledczy o tem go przekonał, Marcinkowski nie miał już powodu owijania prawdy w bawełnę.

Przez cały dzień 30. marca na ponownych przesłuchach trzymano naszego kandydata medycyny.

Skąd o tem wiemy?

Z aktów ministerstwa berlińskiego, bo tam przechowały się papiery tego procesu, naszych studentów dotyczące. Karol Marcinkowski osobne ma tam całe akta wyłączne, czyli że od roku 1822 rząd pruski zapisywał sobie wszystko to, co się do niego odnosiło, i to do samej Karola śmierci. Ministerstwo spraw wewnętrznych odtąd zawsze od urzędników swych w Wielkopolsce żądało zdania sprawy z Marcinkowskiego działania, tak jak po dziś dzień zawsze zasięga wiadomości o osobach sobie podejrzanych. Urzędnicy zaś piszą swoje osławione »berychty«.

Śledczych sędziów nie zadowolily zeznania ustne; chodziło im jeszcze o ustawy związku »Polonii«, które nosily miano »Konstytucyi«. Że zaś komisya nie wydestala też tychże ustaw od akademików wrocławskich, więc na

Marcinkowskiego wywierano nacisk, aby ustawy te z pamięci spisał — i dano mu sześć tygodni do namysłu. Nie żartowali z nim urzędnicy, ani też mu dozorczy więzienni dogadzali. Po trzymiesięcznym rozpamiętywaniu pod kluczem, Marcinkowski spisał im tychże ustaw »Polonii« luźnych paragrafów 37, poczem dopiero śledztwo ukończone zostało, a urzędowy protokół przeczytanym, przyjętym i podpisanym został nareszcie.

Dlaczego o tem mówimy tak szczegółowo?

Bo Marcinkowski był jednym z pierwszych takich podsądnych »przestępców«, jakich liczba z biegiem czasu w Polsce podległej wzrastać nie przestanie. Więzy, jakie potem nakładano na umysły młodzieży, coraz to zacieśniano. Ducha gnębili i na swoją modłę przerabiać poczęli ci, którzy chcieli zawładnąć polskiej młodzieży duszą.

Ten nacisk i ucisk trwają — od lat dwudziestu ciągle słyszymy, jak podobne procesa wytaczają studentom, ale nie tylko tej młodzieży dorosłej, lecz i chłopcom gimnazjalnym za to, iż w koła tajne się łączą — w celach najszlachetniejszych oczywiście. Głośno niedawno też było o procesie poznańskim przeciw Władysławowi Bolewskiemu i trzynastu towarzyszom, z których ośmiu więzieniem pokarano. Szeroko i daleko słyhać też było o procesach gimnazyastów gnieźnieńskich, toruńskich, słyhać też ciągle jeszcze, iż z tego a tego gimnazyum czy konwiktu wydalają uczniów za to, że się w domu polskiego języka w kilku razem uczyli.

A o tem, co już nie młodzież, ale dzieci małe za czasów naszych znoszą, ten chyba tylko nie wie, kto żyje ciemny, jak nieprzymierzając tabaka w rogu, kto w domu nie ma szczerze polskiego dziennika.

»Kształcisz kalectwo przez szlachetne blizny!« To znaczy, że chociażbyś z miłości ojczyzny i okaleczał, to jednak jakbyś nie był właściwie kaleką, nie uważasz się za pokrzywdzonego, bo każda ułomność czy blizna z rany, każde okaleczenie jest dla ciebie chlubą, jakby herbem

nowoczesnym, bo drogocennym dowodem szlachectwa duszy!

Takie czy podobne myśli krzepić musiały i więźnia Marcinkowskiego. Kaleką on wprawdzie nie został, ale tracił za to zdrowie ogólne, bo robak zgubnej choroby coraz to gościnniej roztaczał się w wątych płucach młodzieńca, któremu w grubych murach brakło słonka dobroczynnego, brakło powietrza dla piersi, a ruchu dla ciała.

Dojrzewał jednak szybciej w tym złym losie umysł Karola; serce jego uczyło się coraz to więcej kochać swoją »Polonię« i swoich braci, Polaków. Tem więcej, że wobec rządu pruskiego, na który nigdy nie nastawał, więzień zupełnie czyste mógł mieć sumienie.

Bo czego chciała »Polonia« ?

Oto zachowania narodowości, to znaczy twierdziła, iż »każdy Polak tak się kształcić powinien, aby nie stracił charakteru narodowego, a tym sposobem narodowość nigdy nie wyginęła«.

To własne słowa Marcinkowskiego, z jego protokołu wyjęte.

»Polonia« chciała dalej utrwalenia przyjaźni, bo koleżeństwo było podstawą przyszłej zgody w społeczeństwie, a Marcinkowski sam dobry dawał miłości tej przykład; w listach do kolegów podpisywał się zwykle: »Wasz brat i szczerzy przyjaciel«.

»Polonia« dbała »o dobre imię Polaków za granicą« i żądała, aby członkowie jej »porządnie się prowadzili«, co inaczej znaczy: »honorowo i moralnie«.

Zwolna, do maja, wylapali już Prusacy resztę studentów, którzy z Berlina powrócili byli do domów rodzinnych; niejednego zaraz wprost z kościoła do więzienia zabrali. Chwymano też nieraz, kogo nie należało, a potem znów wypuszczano.

Ale popłoch powstał w Wielkopolsce wielki.

— Co czeka synów naszych, co czeka tę młodzież? — powtarzali zatrwożeni rodzice.

Dwudziestu i sześciu zasiąść miało na ławie oskarżonych.

W dodatku po domach naszych niepożądane odwiedziny i przetrząsania. Pod nieobecność państwa domu przyjeżdżają urzędnicy do dworu.

I po co?

Aby z niego wydostać orzelka — tak, srebrnego orzelka, który zdobił oprawę »Konstytucyi« »Polonii«. Zniszczyć niewinnego godła tego nie chciał Tadeusz Pągowski; odznakę tę podarował trzynastoletniej dziewczynce, Teodozyi Krzyżanowskiej, w Rożnowie pod Obornikami.

Podstępnie i chytrze rozmowę na orzelka tego sprowadził pan landrat, a dziewczynka, nie przeczuwając, o co chodzi, owego zbrodniczego orzelka sama urzędnikowi do pokazania przyniosła. Pan radca krajowy już jej własności tej nie oddał, tylko i tego martwego orzelka zamknął do więzienia swojej kieszeni. Nosił on polskie nazwisko: Gorczyzewskiego, ale że Polakiem właściwym nie był, to jasne. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że po Kongresie wiedeńskim zabór nasz dostał osobnych urzędników pozamiejskich; w każdym powiecie ustanowiono takiego landrata, któremu potem do pomocy dodano osobnych komisarzy obwodowych. Tych urzędników niema w Niemczech, tylko u nas się oni ostali i nami opiekują się osobliwie.

Nie napróżno jednak namiestnikiem króla pruskiego w W. Księstwie Poznańskim był rodak. Książę Antoni Radziwiłł natychmiast stanął w obronie nie tylko młodzieży, ale i całego społeczeństwa, tem bardziej iż namiestnik miał pewne dane, że »uszy i oczy królewskie«, t. j. urzędnicy, chcieli z muchy zrobić słonia i zbudować wielką »zbrodnię stanu«. Namiestnik Radziwiłł znajdował się pod ten czas w Berlinie i mógł ustnie z królem pruskim się porozumieć, ale że rzecz musiała iść urzędowo, to jest na piśmie, więc książę kilku listami musi domagać się swego, wyjaśniać pomyłki, prostować mylne doniesienia. Wreszcie

używa już całej wymowy, żeby tylko króla jak najłagodniej dla oskarżonych usposobić.

Przypomina, iż król żądał od niego, aby książę dla króla »zjednywał serca ludności przez ścisłą sprawiedliwość, porządek i opiekę«.

Więc też książę tego przestrzegać pragnie. Dopomina się, aby kilku więźniów podczas trwania śledztwa wypuszczono na wolność za poręczeniem pieniężnym, t. zw. kaucją.

Zapytuje się, czy zdrowiu więźniów nie nie zagraża.

Nalega — bo nadszedł już czerwiec tymczasem — aby śledztwo wreszcie ukończono, sąd wydano, a wyrok ogłoszono.

Zupełnie wyraźnie książę królowi przedkłada, iż o zbrodnię polityczną młodzieńców oskarżać niepodobna, że srogość ta sprzeciwia się wszelkim przyrodzonym uczuciom. Podaje przykład Królestwa, gdzie rząd rosyjski za wykroczenia podobne nie karze kryminałem, tylko karci drogą dyscyplinarną. Ostatecznie książę mówi z przejęciem:

»Jeżeli dzieci nasze zawiniły, to niechaj je za tę nierozwagę ukarzą prędko i surowo, tylko niech im nie każą marnieć całe lata w więzieniu, zanim się o ich winie przekonano, i to w najpiękniejszym okresie ich życia, w czasie, przeznaczonym przedewszystkiem na ich wykształcenie«.

A Marcinkowskiego książę miał na myśli w pierwszym rządzie; on bowiem dzieci jego nauczał języka polskiego; książę dbał o wzmocnienie jego słabego zdrowia i zabierał ze sobą do zdrojowisk górskich, a wszystko w uznaniu niezwykłych zalet młodzieńca.

Po kilka razy namiestnik Radziwiłł tak stanowczo ujmuje się za naszymi więźniami, tak że wreszcie król pruski do ministerjum swego wysłał pismo: żąda ukończenia śledztwa i natychmiastowej całej sprawy z tego, co wykryto. Ostatecznie wydał rozkaz, tak zwany gabinetowy, z biura jego własnego wprost dnia 11. lipca 1822 r.

pochodzący, i zawyrokował, że do młodzieży naszej nie zostanie zastosowaną kara kryminalna, tylko że łagodniejsza kara policyjna skazuje ich na zamknięcie w twierdzy.

Doktorand, t. j. będący w egzaminach Karol Marcinkowski i student prawa, Koszutski, jako współzałożyciele tajnego związku, zamknięci zostaną na pół roku, siedmnastu innych na trzy miesiące. Czterej Armińscy zaś, t. j. studenci niemieccy, którzy o istnieniu »Polonii« wiedzieli, dostali tylko sześć tygodni zamknięcia. Biedaka Koehlera wydano władzom rosyjskim.

IV.

PIERWSZA KARA PRUSKA.

Siedzi w klateczce więziona ptaszyna,
że była wolną, sobie przypomina;
a choć jej ptasznik daje dość żywności,
jednak przez szczeble wzdycha do wolności.

Więźniowie nasi niebawem dowiedzieli się o wyroku, jaki wreszcie na nich zapadł. Przed wyjazdem na »pokutę« do poszczególnych fortec pruskich nie omieszkali księciu namiestnikowi jednak posłać piśmiennego podziękowania za to, że książę wyrok królewski złagodził i że nie zostali zamkniętymi do zwykłego z rzeczywistymi złoczyńcami więzienia. Pismo to także znajduje się w aktach berlińskich — oprócz Marcinkowskiego podpisali je studenci: Erazm Stablewski, W. Salkowski i Loga, który później jako kapłan i kapelan obozowy zginie w bitwie pod Szawłami.

Kilku zasądzonych zgłosiło się o urlopy, aby mogli w domu odpocząć lub załatwić sprawy pilniejsze. O taki wypoczynek na wolnej stopie wniósł także Karol Marcinkowski. Odmówiono mu tego uwzględnienia.

Na koszt państwa każdemu ze zasądzonych »przestępców« wypłacono blisko 60 koron, bo tyle wraz ze strawnem wynosić miała dziesięciodniowa ich podróż z Berlina do — Gdańska.

Tak, do Gdańska, słynnego, królewskiego miasta, pod którem rzek naszych królowa, Wisła zbożopławna, wpada do Polskiego Morza, do tego Gdańska, gdzie ze szczytu wspaniałej wieżycy ratuszowej wznosi się postać ostatniego Jagiellona — udać się miał Karol Marcinkowski.

Wiemy, iż kilku ramionami fale Wisły do morza wpływają. Nad jednym z nich wznosiła się i po dziś dzień jeszcze wznosi wysoka wieża okrągła, baszta potężna. Ale dzisiaj wody Wisły, wyżłobiwszy sobie koryto nowe, i głównem ramieniem wpadają pod Nowym Portem — dawnie koryto zaś dotąd jeszcze Wisłoujściem się zowie.

Aż nad morze po utratę swobody osobistej pojedzie tedy studentów dwunastu, z Marcinkowskim na czele. Dnia 21. lipca, o godzinie trzeciej zrana, przed berlińską *Städtvogtei* zajeżdżają zwykle, odkryte powózki pocztowe, żelaznych kolei bowiem dla parowozów umysł ludzki nie był jeszcze wynalazł. Ale zuchowata młodzież mniema, iż podwoły podobne nie są dla niej odpowiednie, więc żąda powozów krytych. Na przygotowane powózki siadać nie chce. Wtedy komisarz cofa ją do więzień, a potem przekłada, że zawsze lepiej zastosować się do smutnej konieczności, aniżeli dłużej jeszcze w celach posiedzieć. I młodzież dała się namówić na taką przejażdżkę, stanowi jej nieodpowiednią rzekomo — wyjechała jednak dopiero około godziny dziesiątej.

Nie ustąpił jednak Marcinkowski. Oświadczył, iż albo mu na podróż dadzą wóz kryty, albo też on drogę do Gdańska odbędzie — pieszo. I jeszcze noc jedną spędził w więzieniu berlińskim, a nazajutrz znowu zażądał wozu osobnego, pospiesznego, tak zwanej ekstrapoczty, która powiozłaby tylko jego samego. W razie gdyby mu takiej poczty nie dano, podróż do twierdzy odbędzie piechotą po dwie mile drogi dziennie. Inny rodzaj podróżowania zdrowiu jego mógłby bowiem zaszkodzić.

Widzimy, iż ustępliwość nie była jego niewczesną zaletą.

Bo Marcinkowski słusznie mógł dla siebie wymagać tych względów, by w krytym powozie chronić się od pyłu, szkodliwego dla płuc słabych, a wtedy już chorych, chciał też mieć ochronę od lipcowego żaru, bo słońca od miesięcy tyłu był pozbawiony.

Wogóle zdrowie jego musiało być nadwyreżone pięciomiesięcznym prawie zamknięciem, beczynną stratą czasu, a do tego i niepewnością, jakim to ostatecznie będzie los jego i towarzyszków więzienia, z którymi się nawzajem nie widywał, ani też mógł porozumiewać.

Ale pan prezes policyi berlińskiej nie żartował; do więźnia przywołał rządowego lekarza, żeby stan zdrowia jego zbadał, a lekarz orzekł, iż zdrowiu Marcinkowskiego niebezpieczeństwo nie zagraża. Więc z osobnym »aniołem-stróżem«, żandarmem, wsadzono młodzieńca do zwykłego wozu pocztowego w sam święty Jakób, dnia 25. lipca 1822 r.

Wilgotna wieża w Wisłoujściu i nadwodne, ostre powietrze nie goją płuc, gruźlicą, inaczej suchotami toczonych. Chociaż rodzina zawsze pamiętała o synu i bracie, nadsyłała mu zasiłki pieniężne, chociaż nie zapominali o nim przyjaciele i znajomi, zawszeć to przykro tak długo czekać na swobodę, pilno, by szybko minęła kara, oddzielająca go od ukończenia egzaminów lekarskich.

Stan zdrowia więźnia stale się pogarszał. Widział to komendant twierdzy i udzielił Marcinkowskiemu pozwolenia, aby przez pewien czas mógł zamieszkać w mieście Gdańsku i poszukać ulgi w cierpieniu płucnym. Skończyły się wreszcie dni »pokuty«: 29. stycznia 1823 roku Marcinkowski wydostaje się na wolność. Przed opuszczeniem twierdzy musi jednakże jeszcze złożyć przysięgę, że nigdy nie będzie się starał wyrzucić zemsty (!) ani na głowie państwa, ani na rządzie jego, ani na kimkolwiek z gdańskiej komendantury, ani na władzy, która śledztwo prowadziła, ani też na tych, którzy się do jego karania przyczynili!

Karzących sumienie tak paliło.

Musiał też uwolniony przysięgać, że ani przez krew nych, ani przez osoby obce zemsty szukać nie będzie, ani też nie wyjawি nikomu niczegokolwiek, czegoby się podczas więzienia go w twierdzy gdańskiej był do-wiedział.

V.

NA POSTERUNKU.

Gdy los nam życie rozszczepi,
Cóż czasu dni smutne ozłaca?
Co nas pociesza i krzepi?
To — praca!

Rok cały upłynął Marcinkowskiemu w zamknięciu. Czas ten z konieczności spędzać musiał prawie beczynnie. Za to teraz ze zdwojoną pilnością kandydat medycyny zabrał się do zdania reszty egzaminów i już na jesień roku 1823 osiedlił się jako lekarz w rodzinnym Poznaniu.

Wrócił nareszcie do swoich — i swoi się na nim poznali — odrazu młodego lekarza obdarzyli niezwykłym zaufaniem. Bo wtedy obywatele starsi nie potępiali w czambuł tego, co później stanie się chlebem powszednim ujarzmionego narodu. Pierwsze to też było stowarzyszenie tajne, które po rozbiorze stały się złem, ale złem koniecznym, tam gdzie nie ma swobody ani słowa, ani działania. Że zaś »Polonia« nie była spiskiem politycznym, chcącym rząd pruski obalić, więc i najbardziej spokój i wygodę lubiący mieszkaniem zaboru młodzieży stworzenia »Polonii« nie miał za złe, tem bardziej, iż skutki ich gorącego serca tylko oskarżonej młodzieży dały się we znaki.

Marcinkowski zamieszkał przy Głównym Rynku, zwy-

kle Starym nazwanym, naprzeciwno słynnego z piękności budowy ratusza, w domu, gdzie się mieściła apteka Kolskiego¹⁾. Odrazu garnie się do pracy najtrudniejszej. Zamożnych chorych w Poznaniu i okolicy leczą już lekarze doświadczeni, dawniej osiadli, ale nie Polacy, którzy biednymi mieszkańcami niechętnie się zajmowali. Ale Marcinkowski nie z chciwości, ani dla wielkich zysków obrał sobie zawód lekarski; on miłuje ludzkość, w każdym bliźnim szanuje brata swego, jak przypominała bardzo wówczas głośna piosenka Wojciecha Bogusławskiego z »Krakowiaków i Górali«:

Nie pogardzaj-ubogimi, choć jesteś bogaty,
Bo nie czynią nas wielkimi klejnoty i szaty.
Nie wydzieraj, co cudzego, szanuj wszystkie stany,
Poznaj w czleku brata swego, a będziesz kochany.

Marcinkowski z ludu wyszedł, dla niego też przedewszystkiem chciał pracować — odrazu też przez lud poznański został pokochanym. Że jednak w zawodzie swym był zręcznym, że zwłaszcza osobistemi zaletami urok rzucił na każdego, z kim miał do czynienia, więc wkrótce zjednał sobie pracę u chorych majątniejszych, a co zarobił od nich i zgarnął ręką jedną, to drugą zaraz ubogim rozdawał.

A pracy jest nienasycony. Gdy skończy pracę w domu i swoich chorych obejdzie, udaje się do jedyne go wtedy w Poznaniu szpitala Sióstr Miłosierdzia, którego głównym lekarzem jest Niemiec, i tam koledze pomaga, z nim razem dokonuje operacji. Wiemy, jak to lekarz niejeden zbada, pozna chorobę, zapisze lekarstwo i chwyci czapkę, by spieszyć do drugiego chorego. Marcinkowski jednak w szpitalu przesiaduje i chorych pociesza, otuchy im dodaje. A gdy widzi, iż majątek zakonnice nie starczy na przyjmowanie wszystkich zgłaszających się chorych, przekazuje szpitalowi znaczniejszą sumę tysiąca i pięciuset

¹⁾ I dzisiaj na tem samym miejscu jest apteka, ale dom nowy.

koron, które mu teraz dopiero z legatu Grabskiego wypłacano. Lekarz zakładowy, choć cudzoziemiec, staje się Marcinkowskiego przyjacielem, i tak we dwóch, zgodnie i gorliwie, noszą ulgę cierpieniom ubogich mieszkańców.

Niestety wybucha zaraza: dur czyli tyfus wiele ofiar zabiera, z pośród ubogich zwłaszcza. Umiera też z niego ów przyjaciel, dr. Schneider, a stratę jego Marcinkowski oplakuje rzewnie, jak dziecko.

Po śmierci kolegi Marcinkowski zajmuje jego miejsce kierownika zakładu, ale wnet sam ulega zarazie.

Roku 1829 zapada na tyfus, którym się u chorego zaraził. Poznań, a zwłaszcza nasza ludność uboga, zalega wtedy kościoły, modląc się o wyzdrowienie swego szlachetnego opiekuna, a kiedy »doktorek Marcinek«, jak go pieszczotliwie nazywano, szczęśliwie wyzdrowiał, odprawiano nabożeństwa dziękczynne, tak jak dzisiaj modlą się za władców lub ludzi wielce zasłużonych. Zasługi bo Marcinkowski już miał, i to niepospolite, skoro posiadał już był skarb nieoceniony, bo ogólną miłość i wdzięczność współmieszkańców i ziomków. Jeden z nich, nieznanego nazwiska, w »Gazecie W. Księstwa Poznańskiego« umieścił wierszowany utwór, w którym radość własną i ogółu wyraża.

Oto tytuł tych zwrotek:

Wiersz na wyjście z ciężkiej choroby W. Karola Marcinkowskiego, doktora medycyny, przyjaciela ludzkości.

(Nadesłane).

Rymotwórca czy rymotwórczyni sposobem ówczesnym zaczyna od obrazów z dziedziny przyrody:

Jak kiedy w gniewu srogiego zapędzie
rolnik podetnie płonkę okazałą,
nikt pewno drzewa żalować nie będzie,
co cierpki tylko owoc wydawało.

Tak gdy samolub albo hypokryta¹⁾,
rażon niemocą, w lożu jęczy biedny,

¹⁾ Obludnik.

nikt o stan zdrowia jego nie zapyta,
lzy zgonem swoim nie wyciśnie jednej.

Marcinkowskiego czyny porównane tu do pięknej,
szlachetnej jabłoni:

Ale jak kiedy jabłoń rozłożystą,
która kwiatami, owoce wdzięcznymi
ogrodnikowi sprawia rozkosz czystą,
wichry z korzeniem wyrwą nagle z ziemi —

Podróżny, który częstokroć w jej cieniu
słodkim snem krzepił utrudzone siły
lub też spiekłemu nieraz podniebieniu
z soku owocu niósł posiłek miły,

Stawa, spogląda smutny naokoło
i przechodzących pyta się skwapliwie:
Kędy jest drzewo, co skromne swe czolo
gięło owocem na pobliskiej niwie?

Tak gdy mąż prawy z śmiercią się uciera,
wszystkich cnotliwych przejmując żal, trwoga;
ubóstwo woła: »Nasz ojciec umiera!«
i lkanie swoim napelnia Dom Boga.

Karolu! ledwie o chorobie Twojej
zatrważające rozeszły się wieści,
wszystko o drogie życie Twe się boi:
powstają żale męskie, płacz niewieści.

Lud tłumny bieży do przybytku Pana,
błaga Go o dni Twoich przedłużenie.
I... głos ubóstwa, sieroty, kapłana
przebija niebios gwiaździste sklepienie.

Wszechmocny, który na górnym Syonie
przez wieki waży losy śmiertelnika,
raczył laskawie spojrzeć ku tej stronie,
zdrowie do Ciebie wraca, słabość znika.

Oh! żyjesz!... z wdzięcznym sercem u ołtarzy
składajmy Twórcy dzięki nieskończone:
znów dobrodziejstwem swem wielkim nas darzy,
Dni dobroczyńcy ludzi ocalone!

...a

I niema w tem przesady, bo Marcinkowski jest wtedy duszą swego rodzinnego miasta, które cios przykry dotknie niebawem. Roku 1830 tracimy arcybiskupa, księdza Teofila Wolickiego, który był nietylko dobrym pasterzem dyecezyi, ale i najprzedniejszym obywatelem i przewodnikiem we wszystkim, co dobre i szlachetne. Kiedy na publicznej licytacji sprzedawano nieruchomości po zmarłym arcybiskupie, a obywatelstwo rozkupywało sobie pamiątki po drogim zmarłym, za składkowe pieniądze, z ofiar mieszkańców Wielkopolski zebrane, zakupiono rzecz cenną, bo pierścień arcybiskupi.

Dla kogo?

Dla Karola Marcinkowskiego, tego młodego lekarza, który przez lat siedm zaledwie już tyle dobrego ziomkom i miastu wyświadczył. Tak uroczystym darem współobywatele chcieli mu się odplacić za niestrudzoną pracę, za serce i pomoc, bez wszelkich zastrzeżeń im dawane.

VI.

W SZEREGACH BOHATERÓW.

...Polak nigdy nie umierał:
Ziemie utracił, wydarto mu prawa —
On wielkiej prawdy stając się dowodem,
Wskazał, że naród zawsze jest narodem,
Gdy mu zostają: miecz, serce i sława.

Ludwik OSIŃSKI.

O, ty szkole podchorążych, o wy, serca młode,
Wy się pierwsi w bój rzucili za kraju swobodę!
O, ty mężny Nabelaku, ty Wysocki dzielny,
Wyście pierwsi dali hasło na bój nieśmiertelny!

Jan Sawa (Marya Konopnicka).

Nadchodzi jednak chwila, kiedy Marcinkowski rzuca ukochany Poznań, opuszcza swych chorych, bo inny, wyższy woła go obowiązek. Na chwilę tę Marcinkowski był już przygotowany, bo niedarmo już jako »polonista« miał czucie z rodakami w Królestwie, znał bicie serca całej »Polonii«. Zanim jednak na plac boju z Moskwą wyjedzie, do pruskiej władzy wojskowej napisze o uwolnienie go od powinności służenia nadal w wojsku pruskim — i tak mówi:

...»Nie mam nic świętszego nad powinność po-

święcenia sił swoich ojczyźnie, wzywającej obecnie swych synów do broni. Gdy oświadczenie to dojdzie do władz przeznaczonych, będę na polu sławy, z którego żadna siła ludzka wstrzymać mnie nie zdoła«...

Nie waha się też rozstać z matką sędziwą, wtedy, gdy ta druga Matka synów woła do broni. Jednak nie żegna się z krewnymi osobiście, list im tylko zostawia, bo w ścisłej tajemnicy do powstania roku 1830 trzeba było się przekradać przez kordon, którego wojsko pruskie pilnowało. W liście tym czytamy:

...»Kiedy całe moje pocziwe życie przepędził w gorliwej chęci służenia ojczyźnie i rodakom, chyba bym się musiał wyrzec samego siebie, gdybym teraz nie szedł za popędem okazania tego czynem, do czego zawsze wszystkie moje uczucia wzdychały. Czas nadszedł, w którym się Polska odrodzić powinna... Spieszę siły moje poświęcić w sposobie, w jakim mnie za zdolnego uznają. Wy tu siedźcie spokojnie i módlcie się do Boga, aby najświętszej sprawie pobłogosławić raczył. Nie trwóście się o mnie: wyjeżdżam z tem przekonaniem, że się z wami w przyjaźniejszej porze zobaczę na nowo. Utulcie lzy wasze i nie wyrzekajcie, żem uczynił krok, którego ominąć było niepodobna«...

To były ostatnie jego słowa pożegnania dla matki, której za powrotem nie zastał już przy życiu.

Kiedy Poznańscy dowiedzieli się, iż Marcinkowskiego w murach miasta już niema — z przerażenia prawie osłupieli. Pójście jego w szeregi wojenne podniosło u nas ducha i dobrym stało się przykładem. Kościoły przepełnione były zwłaszcza kobietami i ubogimi — modlono się żarliwie za sprawę naszą i jej ukochanego szermierza.

A chorzy z jego zakładu?

Ci na wieść o wyjeździe Marcinkowskiego podnieśli płacz głośny, rzewne zawodzenie, tak jak gdyby już nikt inny nie mógł ich uleczyć. Dopiero kapelan przy szpitalnym kościele Przemienienia Pańskiego uspakajał ich i przypominał, że przecież jeszcze jest inny Lekarz

na niebie, który chorych, gdy zechce, uzdrowi, chociaż Marcinkowskiego w szpitalu zabrakło.



Karol Marcinkowski w drodze do chorych.

Przez kordon wojak nasz przedostał się pod miasteczkiem Słupcami, tuż za historyczną Wrześnią, a uchodził w gromadce. Zatrzymał się jednak na chwilę w pochodzie,

żeby opatrzeć ranę żandarma, którego postrzelił hr. Tytus Działyński, gdy mu Prusak przejście zagroził. Stamtąd jadąc na Łowicz, dawną siedzibę arcybiskupów gnieźnieńskich, w drodze spotkał się z siostrą tegoż Tytusa Działyńskiego, Klaudyą Potocką, patriotką, która także zdążyła do pozostałej stolicy, by tam nieść ulgę rannym i cierpiącym. Zaczynała ta pani razem z inną Wielkopolanką, niewygasłej pamięci Emilią Szczaniecką, zajęły się potem urządzeniem lazaretu wojskowego i w nim na służbę się zaciągnęły, jako siostry szpitalne.

Wielkopolanie, którzy na listopadowe powstanie wyruszyli, utworzyli osobny szwadron jazdy poznańskiej, więc i Marcinkowski wstąpił do niej jako prosty ułan. Chciał walczyć w szeregu, zetknąć się z wrogiem w linii bojowej; nie pożądał wygodniejszej i mniej niebezpiecznej służby lekarskiej.

Marcinkowski wzrostu był średniego, postawy wysmukłej, rysów wydatnych i szlachetnych. Twarz pełną, okrągłą, ożywiały wielkie, przenikliwe oczy, o surowym nieraz wejrzeniu, ale z wyrazem wesolej dobroci.

Wyobraźmy sobie bohatera naszego w granatowym mundurze, z amarantowym kołnierzem i włóczkowymi szlifami, przepasanego rzemieniem z tornistrem na plecach, i w czapce, tak zwanej furażerce francuskiej, ze zwieszającym się na bok wążkiem denkiem.

Marcinkowski wkrótce prochu powąchał i chrzest wojenny niebawem otrzymał. Szybko posuwał się w stopniach wojskowych. A sprawiać się umiał gracko i bił niezgorzej, skoro w marcu był już oficerem i otrzymał jeden z dwóch krzyżów za waleczność, które wódz naczelny przyznał szwadronowi poznańskiemu. Drugi krzyż towarzysze broni przyznali księdzu Łodze, który wkrótce bohaterskim zgonem, z krzyżem w rękę, zginie pod Szawłami na Żmudzi.

Marcinkowski został prawą ręką generała Chłapowskiego, gdy tenże łączyć się miał z powstaniem na Litwie i tam nowe tworzyć oddziały.

Wtedy to Korona Litwę zachęcała do szybkiego po-

wstania i ślała jej piosenkę p. t.: »Litwinka«, której pierwsza zwrotka brzmi:

Wionął wiatr błogi na Lechitów ziemię
i Litwa czeka przychodnia,
wzdycha za nim, czeka co dnia.
Gościu! przybywaj bratnie odwiedzić plemię,
Uwolń wielkiego z więzów niewolnika
olbrzymim ducha udziałem!
Najeźdźców uścielim walem
i straż im wydrzem świętego pomnika.
Hop! hop! koniku, do Litwy!
Podkóveczka tego kuta,
jest i szablica do bitwy,
szablica jak u Kiejstuta.
Pójdźmy powitać litewskie doliny,
gdzie nas czekają, gdzie zyszczem wawrzyny!

Do zdziałania tego pięciu »polonistów« dawniejszych powołanych zostało; Marcinkowskiego mianowano szefem sztabu. Bił się walecznie pod Hajnowszczyzną, pod Lidą ocalił życie Gustawowi Potworowskiemu, bo od czasu opuszczenia Warszawy Marcinkowski podwójną pełnił służbę: żołnierza i lekarza. Kiedy inni odpoczywali po trudach bitwy czy marszów, Marcinkowski opatrywał rannych i krzepił ich na duchu. Z pod Wilna wyprawił się też pod Połagę, przystań morską na Żmudzi, gdzie z bronią w ręku wylądować mieli ochotnicy francuscy, na pomoc nam przy-
pływający.

Gdy Warszawa jednak, ochronić się nie mogąc, spełnić musi żądanie przeciwnika i przystać na rozbrojenie się wojska, i litewski korpus Chłapowskiego broń złożyć musiał u granicy pruskiej, opuścić ziemię Królestwa, a na pruskie terytoryum przejść bez broni.

Marcinkowski miał wtenczas czterysta rannych na wozach; opiekował się nimi jako lekarz korpusu, a na granicy władzom pruskim ręczyć musiał, iż nie przewozi im zarazy, bo Prusacy obawiali się cholery.

Wiadoma rzecz, iż im bardziej kto zarazy się boi,

tem łatwiej jej ulegnie. Więc też oddziały pruskie wnet cholera dziesiątkować zaczęła.

Wyobraźmy sobie, co się dziać musiało w duszy Marcinkowskiego, który po upadku powstania boleć musiał i krwawemi płakać łzami. A tutaj pruski generał każe mu przyjść do swego obozu i pełnić powinność lekarską nad wrogiem ojezyny, chorych od śmierci ratować. Boleśne to zadanie chwili!

Jak tylko Marcinkowski wśród Prusaków się ukazał, wzbudził podziw ich lekarzy, którzy sami także cholery bali się bardziej niż ognia, a do zakaźnych zbliżali się w maskach na twarzy, w ceratowych płaszczach i rękawiczkach. Obóz pruski rozbity był o dwie mile od Kłajpedy, miasta inaczej Memel nazwanego, gdzie cholera obfite żniwo śmierci zbierała. I miasta od zbliżenia się cholery bronił, a zarażonych wielu wyleczył nieustraszony nasz lekarz, który bohaterską odwagą budził nietylko uwielbienie, lecz i wdzięczność ludności. Generał pruski zapytywał generała Chłapowskiego, jakiej od króla pruskiego żądać ma nagrody dla zbawcy tylu ludzi i pogromiciela zarazy.

Marcinkowski z góry bez ogródki przyjęcia jakiegokolwiek nagrody od króla odmówił. Od miasta Kłajpedy przyjął tylko adres dziękczynny i złotą obrączkę z literą M.

Od tej samej litery zaczynało się nazwisko nowego Marcinkowskiego przyjaciela, Masona, właściciela składu machin, który Szkotem był z urodzenia i którego rodzinę Marcinkowski z cholery wyleczył. Mason to prawdopodobnie wraz z generałem Chłapowskim namówili strapionego i osłabionego trudami Marcinkowskiego, żeby jeszcze nie wracał do Poznania, gdzie go nowa czekała surowa kara więzienna za zbiegnięcie z wojska pruskiego.

Przyjaciele dali mu pieniędzy na drogę, Mason na pokładzie żaglowca, który Marcinkowskiego zawieźć miał do Szkocyi, umieścił osobną stajenkę dla ulubionego towarzysza bojów, jego konia ulańskiego.

I tak tulać się po obczyźnie popłynął Karol Marcin-

kowski, który życie chciał dać za wolność Ojczyzny, a teraz od tej świętej ziemi morzami się musiał odgrodzić.

Dlaczego napozór tak dobrowolnie od Polski się oddalał? O tem tak się rozwodzi w jednym z pożegnalnych do przyjaciela listów:

»Własne me szczęście jest dla mnie przedmiot zbyt nędzny, abym się za niem mógł uganiać. Co dalej przedsiębiore, jest w zamiarze dalszego kształcenia się znowu na dobro cierpiącej ludzkości. Dziś zatłoczyłyby mnie nieprzyjemne uczucia, gdybym po tylu doznanych dotkliwych przeciwnościach miał odrazu w dawne wstąpić stosunki i służyć za cel szyderstwa złośliwych nieprzyjaciół. Czas złagodzi rozdrażnioną duszę, a wtenczas los przychylniejszy znowu mnie między Was przyprowadzi. Czas ten rozłączenia za granicą jak najlepiej będę się starał zużyć«.

VII.

NA TUŁACTWIE.

Gdy zapadło nad ojczyznę czarnej trumny wieko,
ten, kto nie mógł żyć w niewoli, we świat szedł
[daleko.

Szedł daleko w obce kraje z ojcystego proga,
Apelując o swą krzywdę do sądnego Boga.

Jan Sawa (Marya Konopnicka).

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,
że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny,
gotów zawsze rzucić go, puścić się w kraj świata,
w nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
walcząc z ludźmi i losem, póki mu wśród burzy
przyświeca ta nadzieja, że ojczyźnie służy.

Adam Mickiewicz.

Nie poszcęcił Bóg orężowi naszemu! Wojsko nasze,
najdzielniejsze i najpiękniejsze z całej Europy, nie miało
głowy — zbrakło nam wodza — więc »rycerze i boje
stracone« zostały, jak u poety Wyspiańskiego nieszczęście
nasze wróży Marya we »Warszawiance«.

Ale duch w narodzie się nie zataił. Wychodźcy z kraju
przeszczepili go na obczyznę.

I Marcinkowski na tułactwo szedł w mniemaniu, iż

na niem i przez nie nadal pełnić będzie świętą służbę dla kraju. Siedm tygodni po burzliwem jesienią morzu płynął ku nowemu okresowi życia — ku nieznaney przyszłości. Płynął z sercem obciążonem tęsknotą, a w czasie przeprawy nowej doznał wielkiej przykrości, gdy pewnej burzliwej nocy bałwany morskie splukały stajenkę z »wiernym konikiem« ułana. Wiadomo nam, iż w roku 1831 nie było jeszcze tych wielkich statków, siłą pary prujących prąd fal morskich. Okręt żaglowy zdany był na łaskę i niełaskę wiatrów i bałwanów; że zaś jesienią zwykle wichry silniej fale wzburzają i wskutek tego statek gwałtowniej się kołysze, więc i nasz tułacz bardzo ucierpiał od morskiej choroby, czyli gwałtownych wymiotów. To nadwyżęzenie nadwątłonego już wojaczką i leczeniem ciała tem znacznie pogorszyło Marcinkowskiego chorobę płucną.

Wylądowawszy wreszcie w mieście Dundee (Dondi), Marcinkowski musiał poddać się dziesięciodniowemu nadzorowi lekarskiemu, tak zwanej kwarantannie, która jednak właściwą kwarantanną nie była, gdyż nie trwała dni czterdziestu, jak np. na Wschodzie, gdzie to poeta Juliusz Słowacki w podróży do Ziemi św. przez sześć tygodni w odosobnieniu mieszkał na piaszczystem wybrzeżu, by dżumy nie przenieść.

Szkoci obawiali się, aby podróżni z Niemiec przybywający cholery im nie przywlekli. Znękany i schorzały, przybył wreszcie Marcinkowski do miasta Montrose (Montros), gdzie go ojciec przyjaciela Masona z prawdziwą przyjął gościnnością. Wypoczywając po trudach podróży, nasz wygnaniec rozpoczął naukę języka angielskiego, od którego szkocki znacznie się różni. Ale że Marcinkowski potem po naukę do Anglii się wybierał, więc też uczył się naprzód tegoż kraju języka, który, chociaż nie trudny, bo nie tak, jak nasz polski język bogaty, jednak osobiwą wymową się wyróżnia.

O przyjaciółach, w kraju pozostałych, myśleć nie przedstawiał i często do nich pisywał, zwłaszcza do generała De-

zyderego Chłapowskiego, do Karola Stablewskiego i jego rodziny, panien Korduli i Emilii Szczanieckich. Pamiętamy, iż w Berlinie był Marcinkowski opiekunem ich braci, którzy się pod jego kierunkiem kształcili, i że z nimi to razem mieszkał wtedy, gdy go do więzienia śledczego zabrano. Stosunki z rodziną Stablewskich i Szczanieckich Marcinkowski utrzymywał potem stale i bardzo ściśle węzły przyjaźni z nimi go łączyły. Głos ogólny mówił, iż Karola Marcinkowskiego z wielkiej pamięci Emilią Szczaniecką łączyło głębsze uczucie najszczytniejszej miłości. Dlaczego jednak węzłem nierozzerwalnym na życie nie połączyły się te dwie dusze gorące i te dwa niepospolite umysły, o tem pewności dotąd niema, bo ś. p. Emilia Szczaniecka umarła r. 1896, a za żywota jej, ze czci dla niej, stosunku tego nie dotykano. Teraz jednak, skoro te dwie dusze połączyły się w lepszym zaświecie, rodzina Emilii Szczanieckiej pamięci zmarłych nie uchybi, jeżeli na podanie to rzuci światło historycznej wiarygodności. Pokolenia obecne tem więcej cenić będą pamięć i zasługi obojgą patriotów, gdy się dowiedzą, z jakich pobudek Karol Marcinkowski w beżennym, a Emilia Szczaniecka w panieńskim umarli stanie.

W dłuższym liście do obydwóch przyjaciółek, r. 1832 pisanym, Marcinkowski tak mówi między innymi:

»...Niech ich (przyjaciół) list niniejszy przekona, że ten sam wśród gwałtownych zmian okoliczności, na obcej ziemi polskiego nie zmieniłem serca, i szczerzej dla przyjaciół miłości ani odległość miejsca, ani coraz innymi przedmiotami ludząca wyobraźnię roz-maitość ostudzić nie zdołały.

Jako miłe sercu pamiątki chowam w mym pulariesie dwa listy Wasze, Szanowna Kordulo i Emilio; pierwszego rocznica dziś właśnie przypada (21. stycznia); drugi bez daty, w Warszawie pisany, zawsze za pożegnanie i błogosławieństwo anielskiej duszy uważałem, kiedym w najświętszej sprawie, w pomyślniejszej niż dzisiejsza chwili, z oddziałem generała Chła-

powskiego spieszył na Litwę. Często z ulgą, jaką stęskniony na widok takich pamiątek czuje, odczytywałem obydwu: ale po okropnym dniu 8. września¹⁾ nie mogę, spoglądając na nie, wzbronić się tej myśli, że chcąc być szczęśliwym na świecie, wypadaloby niczego nie życzyć, nic się nie spodziewać... A ileż to ofiar wymaga



Emilia Szaniecka.

ta prosta prawda przyznania praw człowieka i narodu!...»

A ku końcowi listu rozrzewnia się pisarz i ukazuje całą piękność swej duszy:

»...Jeżeli amnestya²⁾ nastąpi, powrócę najpewniej

¹⁾ poddania się Warszawy.

²⁾ Ułaskawienie.

w końcu tego roku. Będę znowu pracował dla dobra ludzkości, a gdyby miało się Bogu spodobać skolatać moje siły tak, aby nie miały wystarczyć do utrzymania mego życia, wiem, że nie odmówilibyście przytułku szczerze Was kochającemu. Gdybym się Wam na nic więcej nie przydał, nauczyłbym dzieci Wasze żyć podług zasad Chrystusa: kochaj bliźniego, jak samego siebie, nauki tak pięknie w dniach naszych objawionej w miłości wolności ludów...»

Miał tu Marcinkowski na myśli hasło, jakie narodowe powołanie wywiesiło na swym sztandarze bojowym: »Za naszą i waszą (t. j. rosyjską) wolność!« — walkę podejmując z ciemną swobód ludowych.

I w tym liście widać, jak bardzo Marcinkowski do przyjaciół swych był przywiązany, a że z Emilią łączyły go węzły serdeczniejsze. W Warszawie ułan jazdy poznańskiej i lekarz wojskowy ze »Siostrą szpitalną« lub inaczej: »Czarną Panią« zapewne przeżyli piękne dni świętych uniesień nad zwycięstwami naszego oręża, bo ostatecznej klęski nie przewidywano jeszcze wtedy, gdy Marcinkowski na Litwę wyruszył.

Myśli i uczucia dzieląc między pracę a pozostałych drogich w ojczyźnie, nasz tułacz w Montrose jak najskuteczniej Szkotów leczył na cholere i dlatego opóźnił zwiedzenie stolicy Edynburga i zapoznanie się z tamtejszym uniwersyteckim wydziałem lekarskim.

Przyjechawszy wreszcie do Anglii, Marcinkowski się zdumiał — bo nie widział dotąd kraju, gdzieby ludzie tak umieli pracować, tak byli oświeceni politycznie i gospodarczo, tak umieli zarabiać i tak wszyscy nauczeni byli tego i zrozumieli, czego dla dobra Anglii było potrzeba. Raziło go jednak wielkie Anglików samolubstwo. I musiało ono niemile drażnić właśnie Marcinkowskiego, który był samolubstwa wprost przeciwnym biegunem, bo on zawsze wszystko odda bliźnim, da im nawet więcej, aniżeli sam posiędzie, gdyż od innych będzie wydostawał pieniądze na pożytek ogółu.

Ale tymczasem Marcinkowski tylko bada, porównuje,

patrzy, co u nas w Polsce najpotrzebniejsze, co u nas założyć, czy w życie wprowadzić należy. Że jednak dobro duchowe zawsze wyżej stawia nad materyalne, że duch u niego więcej znaczy, niż pieniądz, więc Anglicy nie chwytają go za serce do tyła, aby u nich zatrzymać się chciał na dłużej.

Jednak w Londynie tęsknotę jego za krajem usmierza nieco pożycie z ziomkami.

W stolicy Anglii bowiem rozbiła namioty część naszego wychodźstwa (emigracyi). W roku 1832 przebywali tam generał ziem podolskich, książę Adam Czartoryski, były przyjaciel osobisty cara Aleksandra I-go i opiekun wszystkich szkół na Litwie i w krajach zabranych, który w roku 1830 był członkiem rządu narodowego i głową stronnictwa zachowawczego, tak zwanych białych. Był tam też towarzysz broni i więzienia Tadeusza Kościuszki, żołnierz i poeta, Julian Ursyn Niemcewicz; przebywali tam też Tytus Działyński z Kórnika i Władysław Zamojski, a wszyscy na celu mieli to, żeby rząd angielski dla sprawy polskiej przychylnie usposobić i sprawić, aby Anglia u Rosyi sprawę Polski wznowiła i jej broniła na drodze dyplomatycznej. Wtedy też założono tam w Londynie Tow. Przyjaciół Polski, które po dziś dzień istnieje.

Generał Chłapowski, przyjaciel i opiekun Marcinkowskiego, w listach temuż zalecał, aby także brał udział w tych politycznych usiłowaniach naszych, ale Marcinkowski to, co władze europejskich rządów w sprawie naszej na piśmie, tak zwanemi notami ze sobą zamieniały, i układanie się z niemi o naszą skórę uważał za nie znaczące.

W Marcinkowskim Polak-obywatel dojrzał już wtedy w zupełności; i kiedy inni rodacy chcieli nowej z powodu nas wojny i pracowali nad tem, aby tę wojnę Rosyi wydały albo Anglia albo Francya z przyjaźni dla Polski, to Marcinkowski mówił już inaczej. On twierdził, że wtedy »nie wojna, lecz pokój jest urodzajną pracą«. Wiedział, że potrzeba jeszcze czasu na to, żeby despotyzm,

czyli rządy podług rozkazu z góry jednostki, w państwach europejskich został wywrócony.

Dlatego z Londynu jeszcze Marcinkowski do generała Chłapowskiego pisze wielkie słowa, które stają na równi z tem, co o przeznaczeniu narodu polskiego wkrótce po Marcinkowskim wypowiedzą Mickiewicz, Krasiński. Wiemy, iż ku podniesieniu wytrwałości naszej wieszczowie narodu ustanowili nam taką naukę, iż Polacy męczeństwo polityczne i prześladowanie znosić mają dlatego, żeby temi niezwykłemi cierpieniami okupić zbawienie i wolność narodów i ludów innych — podobnie jak Chrystus Pan męką Swoją zbawił ludzkość całą. W poezyi naszej idea ta ukaże się najpierw w »Dziadach«, a potem w »Irydyonie«. Marcinkowski nie był poetą, dlatego nie umiał myśli swej ubrać w niezwykle szaty wyobraźni, ale za to jako myśliciel głęboki (filozof) już w roku 1832 tak do przyjaciela pisze:

»...My Polacy z rezygnacją (spokojnem poddaniem się) powinniśmy ponieść tę ofiarę (a innych nie przec do wojny) na rzecz powszechnej wolności... Okropna to dla nas ofiara — daj Boże, żeby dla sprawy ogólnej całego rodu ludzkiego słodsze przyniosła owoce...«

Ważny tu widzimy zwrot w poglądach Marcinkowskiego: Otóż poza Polską i jej niepodległością teraz strzeżę on jeszcze ludzkość całą, t. j. teraz on każdemu człowiekowi na świecie chciałby dobro wyświadczać, każdego uszczęśliwić.

Od tej chwili też ta cnota miłości bliźniego w duchu Chrystusowym stale w nim wzrastać będzie i doprowadzi do chrześcijańskiej doskonałości. Pracę swą i talenta odda on na usługi Polaków, ale i poza polską ojczyznę widzieć będzie bliźnich, którzy tak samo mają prawo szczęśliwego tutaj bytowania. Z chwilą poznania innych, jak polskie i niemieckie, społeczeństw, w Marcinkowskim wzrasta miłość dla ludzkości całej bez wyjątku, czyli z obca: altruizm. To wykonywanie miłości bliźniego w czynie, ina-

czej filantropia, jest kluczem zagadki, dlaczego Marcinkowskiego kochać i szanować będą wszyscy ci, z którymi będzie miał do czynienia w zanadto krótkim swoim żywocie doczesnym.

Rozejrzawszy się dostatecznie po Anglii, Marcinkowski porzucił tę wyspę, Albionem inaczej jeszcze zwaną, i przepłynął do Francji. W Paryżu stanął w końcu sierpnia 1832 roku. Tutaj koło wychodźców polskich było liczniejsze i znaczniejsze. Marcinkowski zabrał się zaraz do pracy wspólnej, t. j. wstąpił do Towarzystwa Literackiego, które atoli nie zajmowało się tyle piśmiennictwem polskim jako takim, ile raczej sprawami politycznemi. W Towarzystwie tem, oprócz prezesa, tegoż samego księcia Adama Czartoryskiego, zastał tam znowu Niemcewicza, generała Franciszka Morawskiego z Wielkopolski, Karola Sienkiewicza (historyka) i wielu innych wybitnych rodaków.

Jak zawsze, im bardziej człowiek prawdziwie jest wykształcony, tem jest skromniejszy, tak też i Marcinkowski w liście, którym zobowiązuje się zostać członkiem Towarzystwa Literackiego, sądzi, że przez to stanie się istotnie użytecznym ojczyźnie — a chociaż czuje własną nieudolność, jednak dołoży starań, aby Towarzystwu zawodu nie uczynić.

Skromność ta znalazła uznanie — bo wychodźstwo nasze nie przedsiębrało żadnej pracy zbiorowej bez tego, żeby do niej nie powołać Marcinkowskiego. Mógł się tedy nasz lekarz-obywatel nadal uzbrajać do pracy w ojczyźnie, skoro miał tak światłych i doświadczonych przewodników, jak n. p. Niemcewicz, który był członkiem ostatniego sejmku wolnej Rzeczypospolitej, i jak dalej i druh jego Karol Kniaziewicz, którzy to przywódcy duchowi do Polski już nie wrócili, tylko na paryskim cmentarzu kości swe złożyli i spoczywają tam we wspólnym pięknym grobowcu polskim.

Pierwszem ważniejszym dziełem naszego Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu było założenie Tow. Pomocy Naukowej dla młodzieży, która z kraju po wojnie była wyszła, a nie miała wykształcenia zawodowego, po-

trzebnego jej do zarabiania na chleb powszedni. Marcinkowski był świadkiem tej pracy i teje Pomocy współzałożycielem. Myśl tę odtąd podjąwszy i ukochawszy, budować ją będzie w głębi umysłu, zasilać i rozwijać — czyni z niej gwiazdę przewodnią swego działania — z idei tej stworzy swoje dzieło wiekopomne.

Ale i w zawodowej pracy lekarskiej Marcinkowski nie zalega pola; uczy się nowszych ulepszeń po klinikach czyli lecznicach dla obłożnie chorych, słucha wykładów uniwersyteckich, poświęca się zwłaszcza badaniu ustroju ciała ludzkiego i jego części składowych, czyli anatomii, oraz leczniczemu krajaniu ciała, inaczej chirurgii.

Niezadługo jednak nadarzy mu się sposobność rozświetlenia polskiej nauki lekarskiej. Dawna jego znajoma, niezmordowana cholera, i w Paryżu szerzy spustoszenie. Wtedy rząd francuski pragnie skorzystać z doświadczeń, jakie polscy lekarze poczynili u siebie w czasach tej klęski, i sprawę tę porucza Marcinkowskiemu. Wspólnemi siłami lekarzom francuskim nasi wychodźcy udzielają objaśnień i wskazówek, ale nagroda za tę wielką usługę przypada samemu tylko Marcinkowskiemu. Instytut francuski udziela mu złotego medalu zachęty do dalszych badań naukowych wartości tysiąca franków (koron). Nasz lekarz słynny zaraz nagrodę tę przyjmuje — ale nie dla siebie, przekazuje ją Tow. Pomocy Naukowej na zapomogę dla ubogiego słuchacza medycyny.

Spamiętajmy sobie, jak bardzo Marcinkowski cenil niezależność ducha, że od żadnego rządu, czy to pruskiego czy francuskiego, niczego nie przyjął, niczego mu zawdzięczać nie chciał. I to piękny rys jego niezawisłego charakteru wolnego Polaka!

VIII.

DRUGA KAŻŃ PRUSKA.

Im srożej los nas nęka,
Tem mężniej stać nam trzeba —
Kto podle przed nim kłęka,
Ten nie wart łaski nieba.

Wojciech Bogusławski.

Cierp i pracuj, a bądź dzielny,
bo twój naród nieśmiertelny.

Juliusz Słowacki.

Tęsknota do kraju, pamięć o potrzebujących chorych ubogich miasta rodzinnego sprawiają, iż wygnaniec dobrowolny postanawia wreszcie wrócić do Polski.

Nie może jednak Marcinkowski ominąć przedtem władzy pruskiej, która, jak w każdej stolicy, tak i w Paryżu miała swego przedstawiciela, z francuska ambasadora lub z łaciny konsula. Król pruski nowy ogłosił był ułaskawienie od kary dla tych wychodźców z zaboru, którzy do dnia 1. kwietnia roku 1832 w granice bylej Rzeczypospolitej powrócą. Ale Marcinkowski za pobytu swego w Anglii o tem się nie był dowiedział, więc teraz w Paryżu zaczął

wywiadywać się o to darowanie mu kary za pójście na powstanie. Urzędnik pruski w Paryżu zapytał się władz w Poznaniu, czy Marcinkowskiemu wrócić pozwalają. Z Berlina jednak minister do Poznania nakazuje, aby wracającemu do Polski Marcinkowskiemu kazano nasamprzód wstąpić do Magdeburga, fortecy nad Łabą (Elbą), bo tam miał się nasz podróżny przed Prusakiem tłumaczyć z nowej »zbrodni«.

Tak jest — oskarżono go o to, iż razem z uwięzionym już obywatelem, Pantaleonem Szumanem, »tajemnymi machinacjami starał się podburzać lud przeciwko obecnym rządóm«.

Znowu bowiem czapka zagorzała.

I teraz Marcinkowski nie mógł poczuwać się do jakiegokolwiek winy. Wprawdzie na krótko przed wyjazdem z Anglii wysłał on był do Szumana list z Londynu, ale, jak akta śledztwa wykazują, treść listu nie mogła nawet być podejrzaną, w każdym razie nie była karygodną. List ten leży sobie w berlińskich aktach w oryginale, tak jak go Marcinkowski wyraźnie po polsku napisał. Nie przytaczamy go tutaj, bo przydługi, ale powtarzamy z niego, co ważniejsze.

Marcinkowski napomina sędziego Szumana, żeby z kraju się nie wydalal i na obczyznę nie przyjeżdżał, bo tam dla polskiej sprawy nic nie wskóra. Rządy obce bowiem nie są nam przychylnę; narody może z nami współczują, ale one nie dopomogą nam do odzyskania wolności. Marcinkowski zapewnia jednak przyjaciela, iż byle ludy Europy postępowały rozsądnie, to pokój i duch czasu są bezpieczną dla drzewa wolności rolą, co znaczy, że ludy Europy i na pokojowej drodze uzyskać mogą swobody obywatelskie i równouprawnienie z innymi stanami.

Dzieje nas uczą, iż istotnie ludy swobody te od rządów otrzymały wkrótce, bo za lat szesnaście, ale nie na drodze pokojowej, tylko wskutek ogólnych rewolucyi, czyli zbuntowania się przeciw władzy rządzącej.

Urzednicy pruscy mniemali jednak, iż Marcinkowski

wraz z Szumanem chcą »budować drzewo wolności«, to jest podnieść powstanie.

Co to znaczy, gdy »czapka gore!«

Czekali więc sędziowie śledczy na Marcinkowskiego, iżby tego niebezpiecznego człowieka znowu zamknąć do więzienia i nowe z niego wymuszać zeznania.

Nie kwapił się tak bardzo pod pruski klucz więzienny czynny i ruchliwy Marcinkowski, więc w Paryżu odczekać wolał, żeby sprawa »zbrodni« Pantaleona Szumana wyjaśniła się bez jego udziału. Doczekać się jednak końca sprawy nie mógł, a że tęsknota za krajem i krewnymi srodze mu już dokuczała, więc we wrześniu roku 1834 wybrał się w powrotną drogę do Polski, ale przez Magdeburg, bo tak mu paszport pruski przepisywał, żeby się tamtejszej policji przedstawić. Nie chciano go atoli badać w Magdeburgu, tylko odesłano do Berlina, gdzie po kilku dniach pobytu dnia 23. października zabrano go znowu do tego samego, co pierwszym razem, więzienia w *Hausvogtei*.

Światła i dowodów »zbrodni« długo szukano. Pięć miesięcy w śledztwie znowu Marcinkowski siedzi zamknięty, bo sprawa toczy się żółwim krokiem. Policja i sąd śledczy rozpisują się na wszystkie strony, przesłuchują mnóstwo osób, między innymi słynnego myśliciela i pisarza, Karola Libelta, wypytują się jeszcze o osoby inne, w liście Marcinkowskiego wymienione. A tu więźniowi pilno do domu i do swoich — więc w styczniu domaga się energicznie, aby śledztwo ostatecznie ukończono, a jego pod sąd oddano. Wreszcie w lutym (9-go) roku 1835 sąd uznaje, iż Marcinkowski współwinowajcą Szumana nie jest, bo list jego do Szumana był pisany jako do osoby prywatnej i tylko dla niego samego przeznaczony. Tutaj sąd pruski orzekł sprawiedliwie.

Posłuchajmy jednego ustępu tego wyroku:

»Marcinkowski przejęty jest entuzjazmem dla sprawy polskiej, z czem się też wcale w zeznaniach swoich nie tai i gdyby przez narodowość polską miało być ro-

zumiane przywrócenie państwa polskiego, mogłoby się to stać oczywiście tylko na podstawie przewrotu obecnych stosunków państwowych. Ale Marcinkowski tego zamiaru nigdzie nie zdradza, a póki się obraca w sferze myśli i przekonania, nie można go za to karać.

Z braku dowodów czynu wreszcie na początku marca roku 1835 wypuszczono Marcinkowskiego z więzienia, ale zabroniono mu jeszcze wyjeżdżać z Berlina, bo tam jeszcze na wolnej stopie czujnie go policya pilnowała i kroki jego śledziła.

Cóż miał robić?

Chodził na uniwersytet słuchać wykładów profesorów medycyny i do największego szpitala berlińskiego *Charité* (Szarite = miłosierdzie), i kto wie, jak długo jeszcze siedziećby musiał tam nad Sprewą, gdyby nie smutne wydarzenie: Najmłodsza siostra jego, Werczyńska, w Buku zachorowała poważnie i dopiero wobec tego minister Marcinkowskiemu pozwolił odwiedzić chorą.

Nareszcie po długiej, pięcioletniej prawie w kraju nieobecności, Marcinkowski wśród swoich stanął 26. marca 1835 roku.

Miał poza sobą siedmnaście miesięcy więzienia pruskiego, dziewięć miesięcy wojowania, a trzy i pół roku życia na obczyźnie.

A choroba płucna nowem więzieniem znowu się wzmogła i rozpanoszyła w osłabionym organizmie szlachetnego tułacza.

Ale to jeszcze nie koniec kaźni, jeszcze inne czekają go »więzy i pęta niezelżywe«.

Marcinkowski wiedział już, jakie zmiany dokonały się przez ten czas w Polsce i w Poznańskim. Po upadku powstania car zniósł osobne Królestwo Kongresowe, a król pruski odwołał już był przedtem swego namiestnika, księcia Radziwiłła, Wielkopolskę zamienił w »prowincję poznańską«. Zdał nas na łaskę i niełaskę naczelnego prezesa, Flottwella, Niemca nie rodowitego, więc tem zagorzalszego słuźalca, który rozpoczął walkę przeciwko wszystkiemu,

co polskie. Już obywatele ziemscy odtąd nie mogli sami obierać sobie »landratów«, czyli starostów ziemskich, język nasz w szkole ograniczono, wyparto go z urzędów. Na domiar pocichu i na rachunek rządu pozwolono Flottwellowi wykupywać od Polaków zadłużone dobra ziemskie i chyłkiem umieszczać na nich kolonistów niemieckich. Tajnie rozpoczęto działanie, które za 50 lat Bismark przeprowadzi jawnie i z czego zrobi wyraźną literę »prawa« — wyjątkową ustawę osławionej komisji kolonizacyjnej — poprzedniczki bezecnego płodu, któremu na imię: »wywłaszczenie«.

IX.

APOSTOŁ OŚWIATY I PRACY.

Narody, nie umiejące pracować i oszczędzać,
zniknąć muszą z powierzchni ziemi.

Wola prawego męża wszechmocna na ziemi:
nie ginąc w kresie życia, wciąż działa na nowo,
wszelki czyn znakomity, wszelkie piękne słowo,
jak działało za życia, nieśmiertelnie działa.

Władysław Syrokomla.

Niewinnie i niepotrzebnie pięć miesięcy znowu Marcinkowski przesiedział w murach więziennych.

Wyobrazić sobie łatwo radość niekłamana i współczucie całej Wielkopolski, gdy nareszcie wraca do swoich lekarz upragniony, działacz, nadzieję i otuchę dokoła szerzący, patriota zasłużony i żołnierz za wolność Ojczyzny.

Nie przesadzimy, mówiąc, iż witano go jak zbawcę-pocieszyciela, który dzielnicę naszą dźwigać miał z niemocy społecznej.

Wielkopolska wtedy przodowała umysłowemu życiu narodu, które po powstaniu siłą rzeczy w Królestwie i Galicyi przytłumione zostało. Powstanie to kosztowało nas

nietylko kwiat młodzieży i zastęp mężów wojskowych, lecz i wiele pieniędzy. I w naszym zaborze pruskim srożyły się kary rozmaite. Kto na powstanie poszedł, temu zabierano ziemię, a jeżeli na opłacenie kary nie miał pieniędzy gotowych, to mu na dobra wsadzano zarząd urzędowy, tak zwaną administrację przymusową, póki z gospodarstwa kary tej nie wybrano.

Nawet kobiety pokutować musiały. Emilii Sczanieckiej także zagrożono zagarnięciem ziemi. »Siostra szpitalna« miała się udać do łaski monarszej, żeby jej darowano winę z roku 1830, bo zapewne dowiedziano się i o tem, iż ona, choć sama z bronią w rękę nie walczyła, jednakże znaczne sumy dała na uformowanie pułku jazdy wielkopolskiej. Ale nieustraszona ta twarda Polka odrzekła, że za nic w świecie nie unieży się do prośby przed wrogiem. Był w niej ten sam duch, który później Kornelowi Ujejskiemu podyktował te piękne przykazania:

Wobec wroga stać spokojnie,
Spokojnie, a hardo;
Nasz złamany miecz po wojnie
Trzymać w dłoni twardo;
Jeśli trzeba płacić głową,
Czynić to z pogardą,
A przed wrogiem z narodową
Nie kryć się kokardą!

Za Emilią Sczaniecką wstawili się jednak inni, przedkładając, że trudno przecież prześladować kobietę, która nie walczyła w szeregu bojowym, tylko rannym żołnierzom ulgę przynosiła, lecząc ich z ran poniesionych lub śmierć konającym osładzając. A gniewało urzędników pruskich jeszcze i to, że Emilia Sczaniecka u siebie w Pakosławiu dawała przytułek kilku kalekom, w wojnie szlachetnymi bliźniami naznaczonym.

Kiedy jednak Marcinkowski do przyjaciół powrócił, Sczaniecka wolną już była od nagabywań, powstańcy kary odsiedzieli lub popłacili, potem zabrali się do roboty, cho-

ciaż innej, a jednak w celach tej samej, zabrali do pracy umysłowej, do szerzenia światła w tych rodakach, którzy go jeszcze łaknęli. Zabrali się do szerzenia oświaty, o której imiennik Marcinkowskiego, Karol Libelt, tak pięknie zostawił nam zdania:

»Oświata podnosi godność człowieka, a kto ją uczuł w sobie, nie ugnie karku pod jarzmo... Oświata rozpościera swobody i prawa w narodzie... Postrzeż się, narodzie, i ratuj nieśmiertelnego ducha swojego!...«

Tego samego zdania był też i Marcinkowski i jego druhowie. Przyjaciele jego uniwersyteccy i towarzysze więzienia pierwszego, wróciwszy z pola walki, żwawo zabrali się do zakładania czasopism; zaczęli nauczać i pisać; obywatele ziemscy zakładają kółka towarzyskie i literackie, t. zw. kasyna, gdzie naradzają się nad sposobami, jak najlepiej zakładać czytelnie dla ludu i ulepszać nauczanie po szkołkach wiejskich. W Lesznie zaczyna wychodzić pożyteczny: »Przyjaciół Ludu«, dla wykształconych piszą Jędrzej Moraczewski, Józef Łukaszewicz, Karol Libelt i wielu innych. Padło hasło pracy umysłowej wszędzie.

Bo od zachodu, od wieszczów naszych na emigracji, idą przecudne głosy otuchy: duch narodu polskiego wciela się w genialne utwory Mickiewicza. Z obczyzny, z Drezna, przychodzi do nas »Dziadów« część III, z »paryskiego bruku« przysyłają nam arcydzieło: »Pana Tadeusza«. »Nieznany poeta« wówczas, z imienia nieznany Zygmunt Krasiński daje nam »Nieboską komedję« i »Irydiona«. Polska staje się bogaczką, zyskuje skarby niespożyte. Polacy rozkoszują się w tych dziełach, czerpią z nich naukę i nową moc ducha.

Ale cała praca w Wielkopolsce nowego nabiera rozpędu, gdy do nas Karol Marcinkowski wraca z krajów wolnych i już oświeconych, wraca zasobny w wiedzę i świadom sposobów, jak teraz najlepiej dla społeczeństwa swego pracować.

On staje się jakby królem czynu, któremu odrazu dobrowolnie pod władzę oddają się współziomkowie. Bo



Karol Marcinkowski.

z konieczności w więzieniu i na tułaczce dość miał czasu do namysłu, żeby już tam utworzyć sobie plan działania w ojczyźnie.

Więc z powrotem do kraju skupia dokoła siebie dawnych druhów, przyjaciół, zawiera nowe znajomości z obywatelami i wystawia im, jakim sposobem najlepiej i najwcześniej Polacy się odrodzą.

Marcinkowski tak mówi do nich:

»Mili bracia a ziomkowie, na teraz trzeba nam schować miecz do pochwy, a dom sobie budować od nowa. Musimy stworzyć sobie nową zagrodę, o własnych wyłączeniach siłach, własnym przemysłem i własną pracą. Musimy w każdym domu nagromadzić sobie skarb duchowy, t. j. oświatę, abyśmy od niej dowiedzieli się, jak w losie przeciwnym sobie poczynać, jak wytrwać odważnie. Musimy czekać, ale nie beczynnienie, tylko czuwać, ustawicznie stać na straży!«

Taką czy podobną radę w Paryżu wychodźcom naszym miał też dawać sławny historyk Guizot (Gizo) w słowach:

»Kształćcie się, bogaćcie się i — czekajcie!«

Ale Marcinkowski to samo wyłożył nam dobitniej, szczerzej, on nietylko radził, ale pracę nauczania zaczął od tego, żeby »wszystkie stany narodu zbratały się na równi, bo **wszyscy Polacy równymi sobie są ludźmi**, a każdy z nas na równi powinien **poczuć swą godność człowieka**«.

Nauka to nie nowa — bo od dwóch tysięcy lat niemal głosi ją Chrystus — ale ludzie o niej zapomnieli. Powtarzał ją i roztaczał niestrudzenie przed laty dwustu prorok narodu, ksiądz Piotr Skarga, ale wołanie jego było głosem wołającego na puszczy.

A jednak bez tej podstawy chrześcijańskiej w żadnym narodzie niema żywotności trwałej.

Łatwiej jednakże nauki te wypowiedzieć, aniżeli je wykonywać, bo każdemu z nas z osobna raczej wydaje

się, iż on dla bliźniego dostatecznie jest dobrym i wyrozumiałym.

Ale równość tę ludzką Marcinkowski dalej tłumaczył tak:

»Równo, jak samego siebie, kochasz bliźniego, jeżeli mu życzysz i użyczysz **tej samej oświaty**, jaką ty sam otrzymałeś od innych lub jaką sam przez się osiągnąłeś«.

»Równo kochasz bliźniego, jeżeli równo i **tak samo każdego stanu** człowiekowi użyczasz **swejej pracy** na wspólny czyli społeczny narodu pożytek«.

To główne Karola Marcinkowskiego hasło, to jego szlachetna istota, to źródło jego natchnienia, jego sprężystości, to pobudka jego ofiarności niezwykłej.

»Oświata i praca narody zbogaca« — twierdzi starodawna pomówka. — Kto ciemny (głupi, inaczej durny) i próżnuje, ten Polskę okrada, ten ją w nieszczęście pogrąża.

W jednym ze swoich ważniejszych przemówień Marcinkowski wypowie też takie »pobożne życzenie«, że gdyby ustawodawcy umieli wynaleźć ustawę, która nikomu nie dozwoli zostać głupim i próżniakiem, to w jednej chwili społeczeństwo ludzkie stałoby się rajem na ziemi.

A jakżeż to zabrać się do tego, żeby to wszystkich Polaków zrobić tymi »równymi braćmi«, oświeconymi i pracującymi dla dobra wzajemnego?

Marcinkowski miał na to sposoby, bo patrzył, jak gdzieindziej obywatele kraju pomoc sobie wzajemną dawali, tak zwaną »samopomoc«, z angielska »*self-help*«, a od przeciwnika czy wroga jej nie wyglądali. Na własną siłę tylko liczyli. Ale tę siłę już w sobie byli wytworzyli.

X.

TRZECIE KARANIE PRUSKIE.

Nie dbam, jaka spadnie kara,
Sybir, knuty, czy kajdany,
zawsze ja wierny poddany
pracować będę dla cara...

Gdy będę na posieleniu,
pojmę córeczkę Tatara —
może w mojem pokoleniu
znajdzie się — stryżek dla cara.

Adam Mickiewicz.

Nie dbał też o karę nową Marcinkowski, bo przekonany był, iż i w nowem więzieniu pracować będzie nie tak — jak śpiewał Frejend w powyższej piosence z »Dziadów« — na stryżek dla cara, ale wysilać się na jak największe moralne uszczęśliwienie Polaków.

Nie darował też Marcinkowskiemu rząd tego, że poszedł na listopadowe powstanie, że zbiegł, jako należący do wojska pruskiego. Tak, jak drudzy, i on za czyn ten miał odpokutować.

Nie pamiętał rząd pruski dobrodziejstw, jakich od Marcinkowskiego doznali wojskowi pruscy w obozie pod Memlem, kiedy to zatrwożona władza wojskowa do jego

pomocy się uciekła z błaganiem, aby cholerycznych, szeregowców czy starszyznę, od cierpień i śmierci wybawił.

Na darowanie winy w imię wielkich zasług obywatelskich Marcinkowskiego, za nagrodzenie nieustraszonego narażania się i poświęcenia rządowi pruskiemu pamięci nie starczyło. Nie mógł zdobyć się na słuszną nagrodę przebaczenia za zbiegnięcie od wojskowej powinności.

Wiemy, że nagrody tej Marcinkowski ani oczekiwał, ani też byłby ją przyjął.

Na razie nie zabrano go jeszcze do więzienia, może ze względu na to, iż co dopiero niewinnie był przesiedział pięć miesięcy w śledztwie sprawy Szumana, ale proces niezwłocznie mu wytoczono. Oskarżono go o zbrodnię przejścia kordonu i udział w wojnie przeciwko Rosyi, zbrodni tem znacznie większej, iż Marcinkowski należał jeszcze do obrony krajowej (landszturmu), że więc uważać go musiano za zbiega ze zapasowych wojowników pruskich.

Dziewięć miesięcy **więzienia!** — brzmiał wyrok surowy. — Nowe zamknięcie go w murach, potem utrata prawa do »kokardy pruskiej«, czyli niemożność osiągnięcia wyższych stopni wojskowych, a nadto, po odsiedzeniu więzienia, przymusowa służba wojskowa w randze nie lekarza, tylko podrzędnego chirurga.

Tym razem wyrok był isticie pruski — srogi — chociaż na zdrowy rozum biorąc, jedno w nim wykluczało drugie. Bo skoro ktoś nie jest godnym zdobienia się »pruską kokardą«, to tak samo nie jest godnym być felczerem czy golibrodą wojskowym.

Na taki wyrok Poznańczycy i Wielkopolanie przygotowani nie byli. Nie mogli też pogodzić się z myślą, żeby znowu na lat trzy utracić z pośród siebie tak niezbędnego lekarza-obywatela. Wysyłają więc do króla Fryderyka Wilhelma III walną petycję, czyli pismo z prośbą o ulaskawienie; zanoszą je magistrat miasta Poznania wraz z radą miejską, które to ciała natenczas jeszcze w połowie z Polaków były złożone.

Prośba mówi wyraźnie, że wykonanie zapadłego wyroku dotknęłoby boleśnie tysiące ubogich Poznania, gdyż dr. Karol Marcinkowski jest nie tylko uczone, biegłym i doświadczonym lekarzem, ale nadto posiada rzadką dobroć serca, która biedzie miejskiej nieocenione przynosi owoce. Niemordowany w swoim zawodzie, spieszy z bezpłatną pomocą ubogim, a co zarobi u majątnych, to rozdaje ubogim, wspierając ich lekarstwami i pieniędzmi. Od godziny piątej do ósmej zrana, a od pierwszej do czwartej po południu w mieszkaniu jego pełno takich szukających pomocy. Więc nie dziw, że całe miasto okryło się żalobą na wiadomość o zapadłym wyroku, a najbardziej narzekają ubodzy, że tracą swego **dobroczyńcę** i że wszystkich dzielnic miasta do radnych miejskich dochodzą prośby, abyśmy się za nim wstawili...

Wobec tego król zapytał się ministerstwa, czy uznaje powody, iżby skazanego ulaskawił; ale choć ministrowie byli za darowaniem winy, jednak król pruski Marcinkowskiego od kary zupełnie zwolnić nie chciał. Obiecał tylko, iż wyrok złagodzi wtedy, gdy wyrok zwykłą drogą do rąk jego dojdzie.

W styczniu roku 1837 zaczął Marcinkowski odsiadywać trzecią pruską karę, więzienie w twierdzy Świdnicy (Schweidnitz) na Śląsku; król bowiem wyrok więzienia na trzy miesiące twierdzy zamienił.

Pisząc do rodziny, Marcinkowski swoim kochanym dodaje otuchy, pociesza ich, że »książką« się bawi, ale przyznaje się, że mu czasem tęskno do jego chłopców (bratanków i siostrzeńców). »Ale cóż robić? — mówi — byłem Was tylko wszystkich zdrowo za powrotem zastał, o to najwięcej Pana Boga proszę«.

Ale do przyjaciół pisze wyraźniej i nie ukrywa przed nimi niepokoju, jaką mu, ze względu na przyjaciół, sprawia ponowne szerzenie się zarazy.

Do Korduli Sezanieckiej i do wszystkich rodziny tej członków zgromadzonych w sierpniu tak pisze:

»...Mój pobyt terazniejszy teraz dopiero mi bardzo

dokuczają, kiedy wiem, ile o miłe Wam istoty z powodu szerzącej się cholery mieć musicie obawę. Ta myśl roztrąca cały mój stoicyzm¹⁾ i odrazu stopiła lodowatą spokojność, którą mą gorącą duszę jak tarczą żółwia okryć usiłowałem. Wiedzieć, że mógłbym gdzieindziej być użytecznym i w czasie nadchodzącej burzy niszczyć nieczynnością chęć służenia swym rodakom, to jest kara, którą mi piekło tylko wymyślić mogło. A potem z szyderskiem urąganiem jeszcze powiedzieć (to piekło) gotowe: »Wszak w tem twoja jest wina, czemuś się nie upokorzył?« Jest to prawdziwie jedna z twardych prób mojego życia — nie wątpię, że ją wytrzymam. Boże, daj tylko, żeby się na własnym postrachu i udręczeniu skończyło, żeby w pociągu piekielnej walki, która mi dzisiaj dokuczają, dotkliwą stratą w rozpacz nie wprawiła...

Kogóż Marcinkowski tak bardzo obawiał się stracić? Przypuszczać możemy, że właśnie siostrę tej, do której pisał, Emilię.

W tym samym liście Marcinkowski donosi jeszcze, iż książę Radziwiłł chce mu się wystarać o urlop, aby Marcinkowski jeszcze i rodzinie do Antonina towarzyszył. »Ale moje miejsce, gdyby mnie od kary zwolniono, bo innego urlopu przyjąć nie myślę, jest w Poznaniu. W czasie takiej walki, jak jest cholera, doktor jak żołnierz na swoim posterunku być powinien«...

I dziwnem zrządzeniem Opatrzności z tego trzeciego więzienia wydobywa Marcinkowskiego dawna, ale straszna znajoma — dobrze mu znana — ta sama cholera, z którą tyle razy się już borykał.

Do nieustraszonej z nią walki wywołano go z więzienia świdnickiego, bo w Poznaniu ludzie od zarazy padali, jak muchy, więc magistrat pospieszył z prośbą do króla, aby tenże szczęśliwemu pogromcy zjadliwej cholery więzienie opuścić pozwolił.

Więc staje Marcinkowski w Poznaniu i znowu witają

¹⁾ Spokojną odwagę.

go jak zbawcę, tak silnie ufają w jego wiedzę lekarską i odpędzenie strasznej zarazy; dowodem tego zwrotka pośmiertnego wspomnienia:

Szuka go naród, aby go oglądać
i by od niego ocalenia żądać,
wznosząc ze łzami uwielbienia głos:
— Onci z miłością Wszechpocieszyciela
chorych uzdrawia, smutnych rozwesela,
nawet wstrzymuje zgroźny śmierci cios.

I znowu magistrat poznański wstawia się za swoim ukochanym lekarzem i pisze do króla pruskiego, donosząc, jak to na własny koszt Marcinkowski już czwartego dnia po wezwaniu stawił się był w Poznaniu.

»Co tutaj działał, z jakim bezinteresownem poświęceniem oddawał się leczeniu biednych zwłaszcza, na jakie niebezpieczeństwo narażał swe zdrowie, gdy w najściślejszem tego słowa znaczeniu musiał sobie nawet spoczynku nocnego przez pewien czas odmawiać, aby zadośćuczynić wołaniom o pomoc, które ze wszystkich stron do niego dochodziły, to wszystko mogą poświadczyć tysiące, które miały szczęście doznać jego opieki lekarskiej«...

Proszą znów obywatelę, aby Marcinkowski nie potrzebował odsiedzieć już reszty kary więziennej, gdyż biedni Poznania, pomocy jego pozbawieni, srodze cios ten odczują.

I stała się rzecz niezwykła. Król pruski resztę kary (24 dni) darował — ze względu na znakomite usługi Marcinkowskiego wobec grasującej cholery.

Został tedy »doktor Marcinek« przy swoich ubogich, wrócił do praktyki lekarskiej.

Ale teraz też, wolny od grózb więzienia czy kar innych, z zapalem zabrał się do swych dzieł gospodarczo-społecznych.

XI.

OJCIEC NASZEGO STANU ŚREDNIEGO.

Gdy pójdziemy jedną drogą,
bok przy boku, w dłoni dłoń,
żadne siły nas nie zmogą:
Jedność — pierwsza nasza broń!

Ferdynand Kuśś.

Śmiało Cię każdy zwać swym może wzorem,
Śmiało iść może Twoich zasług torem!
Winien jest nawet drogą cnót Twych biedz!
Ma-ż kto większego nędznych przyjaciela,
Ma-ż kto lepszego współobywatela?
Onci był gotów nawet w krwi swej ledz.

Sierp-Polaczek.

Marcinkowski poznał był Anglię, gdzie kwitło bujne życie stowarzyszeniowe i było już wielką społeczną potęgą.

Więc, wróciwszy do domu, naprzód ziomek powoła, żeby złączyli swoje siły pieniężne, tworzyli przedsiębiorstwa zbiorowe w celu wydobycia z nich zysków większych, niż w pojedynkę.

Dzisiaj przedsiębiorstwo takie zdaje nam się czemś bardzo zwykłym, prostym i zrozumiałym, bo wszędzie już,

prawie we wsi każdej, mamy takie spółki współdzielcze, których zyskami udziałowcy się dzielą. Ale przed laty siedmdziesięciu, przed nadaniem równouprawniającej stany konstytucyi, przed uchwaleniem i rozszerzeniem obecnych ustaw spółkowych czy udziałowych, wtedy, kiedy u nas nikt inny jeszcze o tem nie był pomyślał, takie przedsiębiorstwo kupieckie było u nas nowością.

Na czem tedy polega zasługa Marcinkowskiego?

Na tem, że on pierwszy stowarzyszył się z kilku posiadzielami ziemskimi, z kilku kupcami miasta Poznania i tym sposobem zebrał 80.000 talarów, czyli przeszło 200.000 koron. Za tę sumę zakupił grunt pod wielki budynek i to w głównej dzielnicy miasta, tuż przy Starym Rynku, głównem ognisku kupieckiem, przy ulicy Nowej, wytkniętej poza obrębem murów z dawnych czasów fortecy.

Jakim sposobem budynek ten miał służyć oświacie i pracy? — zapyta niejeden.

Oto miał on dać przytułek początkującym naszym kupcom i rzemieślnikom, aby w gmachu tym za nizko bardzo opłacaną dzierżawę mogli mieć składy towarów sprowadzanych, czy też własnych wyrobów.

W budynku tym miał się ogniskować nasz ruch kupiecki i przemysłowy, oraz przeważnie rolniczy. A wspierać tych dorabiających się pracowników z innych stanów narodu mieli przedewszystkiem ci mienniejsi, bogaci ziemianie i dziedzice, dla których w gmachu zachowane były mieszkania, gdzie był zajazd dla koni, to, co obcym wyrazem nazywamy hotelem. Była tam też wielka sala do obrad i zabaw ziemiańskich czy miejskich.

Dołem, na przyziomie, zwykle tak zwanym parterze, były składy i sklepy, na piętrach pokoje do wynajęcia i owa wielka sala.

Gdyby mury jej przemówić mogły, opowiedziałyby nam wiele wypadków, rozmów poufnych, chwil wzniosłych, których były świadkami. Tutaj potoczył się kawałek dziejów naszej dzielnicy. Tutaj rozbrzmiewały słowa naszych

wybitnych działaczy, tutaj zawsze witaliśmy zwykle uroczyście miłych gości z dalszych stron ojczyzny, jak poetkę Deotymę (Jadwigę Łuszczewską), Władysława Syrokomlę, tutaj przyjmowaliśmy Józefa Ignacego Kraszewskiego i pierwszego Sokoła galicyjskiego w roku 1869; tutaj też odbywały się uroczyste obchody narodowe, przedstawienia teatralne i koncerty, pókiśmy sobie własnego teatru nie postawili; tutaj też wystawiano wszelkie obrazy słynnych naszych malarzy, jak Matejki i Siemiradzkiego.

Całą osobną książeczkę możnaby napisać o tem, jakich to chwil uroczystych sala ta była świadkiem, zwłaszcza tych jubileuszowych rocznic, gdzie to Wielkopolska zbierała się, by potem czcić zasługi i wdzięczną pamięć twórcy tej instytucji, Karola Marcinkowskiego.

Tymczasem żywym w swojej osobie na pierwszym balu, w sali tej wydanym, zjawił się sam Marcinkowski, chociaż zwykle nigdy przedtem, ani potem na tanecznych i hucznych zabawach nie bywał, ale chciał on obecnością swoją zaznaczyć tę pierwszą zabawę we własnym domu, na własnej sali. Uczestnicy balu tego opowiadali, że Marcinkowski zjawił się w białej kamizelce ze srebrnymi wypustkami; widocznie inni mężczyźni nie byli tak samo ubrani, lecz trudno teraz już dociec, dlaczego Marcinkowski od innych się odróżniał. Chybaby tym sposobem zaprowadzał jaką »nową modę« na prośbę jakiego początkującego krawca poznańskiego, i tem mu w zarobkowaniu chciał dopomódz.

Bo rękodzielnikom i rzemieślnikom Marcinkowski sprzyjał bardzo gorąco. Chciał, aby Poznańczycy nauczyli się wytwarzać taki sam towar doborowy, jaki u niemieckich kupców lub w innych miastach kupowali zwłaszcza obywatele wiejscy, albo też z innych obcych miast czy krajów je sprowadzali. Tymi dobrymi dostawcami zapełnić chciał składy nowej spółki. To też wyszukiwał naumyślnie ludzi, do rzemiosła czy kupiectwa uzdolnionych, pożyczał im pieniędzy, aby się w zawodzie swym wydoskonali w lepszych warsztatach czy fabrykach, a potem w Po-

znaniu osiedlili. On też namówił Jana Konstantego Żupańskiego, aby otworzył księgarnię, jakiej wówczas w Poznaniu jeszcze nie było. Nie skończylibyśmy po nazwisku wliczać szeregu tych kupców i przemysłowców, których Marcinkowski namówił do ulepszonej pracy zawodowej; on sam mógł o nich nawet zapomnieć, tak wielkim był ich zastęp. Ale nasz działacz nie ustawał na chwilę, ciągle współobywatelom dopomagał, aby się pieniądze dźwigali.

Marcinkowski szedł prosto do wyraźnego celu: tworzył u nas i powiększał pracujący, dzielny, miejski **stan średni**, zasobny, sprawny i zamożny, taki sam, jaki już istniał we Francji i Anglii i stanowił jedną z podwalin bytu narodowego. Słusznie go tedy nazwiemy ojcem stanu średniego w dzielnicy naszej, gdyż on zapoczątkował ruch i sprawność Poznańczyków, żeby się do handlu i rzemiosła zabrali.

Na wschodzie (w Turcji i Egipcie) publiczną, jakoby uliczną wystawę nagromadzonych różnorodnych towarów, na przekup (handel) przeznaczonych, nazywają »bazarem«. Takie też miano otrzymały dom i spółka kupiecka, założone przez Marcinkowskiego.

»**Bazar Poznański**«, którego Marcinkowski pierwszym był dyrektorem, w poczet firm sądowych zapisanym został w czerwcu roku 1842. Założyciele spółki tej zawiązali się na lat 24 i odrazu na mocnej, zdrowej stałej podstawie.

Z dochodów swoich szóstą część odkładać postanowili na wydatki nieprzewidziane, dwie szóste na dalsze i ciągle dźwiganie przemysłu i rolnictwa. Dopiero druga połowa dochodów mogła w stosunku do udziałów wpływać do kieszeni właścicieli udziałów czyli akcyi, jako osobisty zysk od włożonego w instytucję Bazarową kapitału.

Bo zamiary ówczesnej dyrekcji Bazarowej, czyli dziegięciu innych współpracowników Marcinkowskiego, nie były wyłącznie kupiecko-samolubne. Nie na to oni »Bazar« założyli, żeby z niego dla siebie wyłącznie wydobywać korzyści, osobiście kieszeń własną bogacić. Obywatele ci zysk

swój zamierzali obrócić na inne, nowe dzieło społeczne, niezbędne, konieczne.

Marcinkowski przekładał im, iż należy nam co prędzej założyć Bank własny, t. j. nową wzajemną pomoc pieniężną, czego jeszcze u nas nie było, i na co jeszcze społeczeństwo nasze długo potem miało poczekać. Ziemianie zaś zamierzali stworzyć szkołę rolniczą, za czem Marcinkowski, chociaż z zawodu nie rolnik, niejedną kopię skruszył odważnie.

W dyrekcji Bazarowej przeważali ziemianie: Józef Grabowski, Julian Jaraczewski, Tertulian Koczorowski, Józef Łubieński, Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Józef Sułdrzyński, jeden był w niej duchowny: ks. kanonik Brzeziński, a z mieszczan, oprócz Marcinkowskiego, jako syndyk czyli doradca prawny, Mioduszewski. Wszyscy oni jednak przejęci byli wtedy demokratycznymi zasadami Marcinkowskiego, t. j. wszystkim stanom równie szczerą i braterską dać chcieli oświatę. A że Marcinkowski był uosobieniem sprawiedliwości, a ziemię ojczystą kochał nie słowem, ale sercem, nie połową duszy, ale duszą całą, że, jak dawni Rzymianie mówili, gotów był jak orzeł bronić jej dziobem i pazurami, więc do kolegów swoich na zebraniach wołał głosem wielkim:

»Wszakże ja doktor, a jednak widzę, że tylko dla nieumiejętności gospodarstwa dobra wasze z rąk waszych wychodzą!«

I jak gdyby miał przeczucie gorszej jeszcze klęski, jaka za lat czterdzieści gromem na nas spadła, dodawał z błaganiem:

»Zlitujcie się sami nad sobą! Radźcie, aby utworzyć instytut rolniczy!«

Bo nie było jeszcze wtedy dla nas osobnych szkół i wydziałów rolniczych, gdzieby wiedzy gospodarowania na roli uczono podług ksiąg i wykładów znawców, to jest teoretycznie, i gdzieby zarazem uczono gospodarowania praktycznego. Na te zakłady długo jeszcze czekać musieliśmy.

Lecz Marcinkowski, choć nie urodzony na roli, choć nie potomek ziemian polskich, jednak tak głębokie i szczere żywił do matki-ziemi przywiązanie, że w Polsce pragnął widzieć samych dobrych gospodarzy, którzyby umieli dobrze zachodzić około tej macierzy, która jest dla nas i chlebem i solą, jest dla nas wszystkim, jest »świętą« ziemią.

Że wtedy już ziemianie nasi szkoły takiej nie utworzyli, temu już jednak Marcinkowski winien nie był. On sam nie próżnował ni chwili, budował tymczasem dzieło inne, nieśmiertelne, które stanie już tylko za wyłącznie jego wyteżoną wolą, ciułaniem grosza własnego i uproszeniem cudzego.

Apostołuje on dalej za oświecaniem Polaków niezasobnych, tych niezamożnych, którzy, choć w pieniądź ubodzy, mają jednak zostać równymi z bogatszymi braćmi obywatelami, równie godnie spełniać mają zadanie człowieka, a którzy są przyszłością narodu.

XII.

DZIEŁO NIESPOŻYTE.

Wiedza jest dar darów.

Zygmunt Krasiński.

...I wielka miłość serce mu objęła
i wielką wiarą szedł przez życie całe.
A miłość jedna tworzy wielkie dzieła —
a wiara jedna sprawia, że są trwałe —
miłość, co wszystkich w jedno tętno sprzega,
wiara, co ufa w Bożą dłoń nad braćmi.
W takich uczuciach wieków jest potęga,
której rdza nie zje, której noc nie zaćmi.

Pamiętamy, że już za pobytu w Paryżu Marcinkowski przyznana mu nagrodę, medal zasługi, zamienił na sumę pieniężną i ofiarował ją na dochód niezamożnego słuchacza medycyny.

Tem bardziej pomocnym chciał tedy być młodzieży polskiej, która stokroć bliższą mu była od cudzoziemskiej. To też skoro tylko po raz drugi wrócił do Poznania, nie przestawał stale pieniądze pomagać ubogiej młodzieży, która wyżej wykształcić się chciała. Gdy sam z trudem zarobionych pieniędzy pod ręką nie miał, pukał do wielko-

dusznego serca przyjaciela, a zwłaszcza do Macieja Mielżyńskiego z Chobienic, aby ten dla potrzebującego szkatułę swoją otworzył. I przyjaciel ten serdeczny dawał, bo był możliwym, prawdziwie wiele możliwym panem i prawdziwie »jaśnie oświeconym«.

Ale nietylko do miennych ziemian pukał Marcinkowski. Gdy była gwałtowna potrzeba, rozpisywał się do swoich kolegów zawodowych, zaufanych, do doktora Kapuścińskiego w Środzie naprzykład, żeby wśród swoich znajomych zebrali lub z własnej kieszeni dali temu a temu tyle a tyle pieniędzy na skończenie nauk. Bo wiemy, jak to dzisiaj jeszcze niejedyn student przebiję się szczęśliwie przez czas uniwersytetu, lecz zabraknie mu grosza na przetrwanie czasu składania wszystkich egzaminów. I wtedy jak ten borykający się z falami wzburzonemi ubogi rybak rozbije się przed samą przystanią, tak też i ów młodzieniec do celu nie dochodzi. Nieraz, złamany i zniechęcony, zamiast stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa, z fałszywego wstydu zakalę jego zostaje.

Więc dla takiej ubogiej a porządnej, zdolnej i szlachetnej młodzieży Marcinkowski zacnie stałe gromadzić fundusze — staje się żebrzącym apostołem oświaty. Przed nim jeden już wielki Polak, Stanisław Staszyc, mieszczanin z Piły, był krzewicielem oświaty wśród ludu, któremu życie poświęcił, a nawet majątek, pracą i oszczędnością zdobyty, ziemię swoją po śmierci między włościan rozdać nakazał. Teraz Karol Marcinkowski, mieszczanin z Poznania, staje się pierwszym głównym krzewicielem oświaty i z pośród ludu świeże umysły i serca wyszukuje.

Wielkość i pożyteczność dzieła mierzy się jego ciągłą trwałością.

Wincenty z Pauli bezdomne dzieci zbierał z ulicy, żywił i wychowywał, chorych odwiedzał — dzieło jego dalej prowadzą niewiasty zakonne i świeckie.

Przed nim jeszcze ksiądz Piotr Skarga u nas założył bractwo miłosierdzia i Bank pobożny — instytucje te do dzisiaj istnieją.

Ksiądz Baudouin w Warszawie od graczy nawet zbierał pieniądze i — policzki, zanim Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie wystawił. Zakład ten trwa do dzisiaj.

Karol Marcinkowski, nie święty, ani kapłan, ani zakonnik, staje się poborcą dobrowolnego podatku narodowego na rzecz nieistniejącego już naszego ministerstwa oświaty, tak zwanej Komisji Edukacyjnej. On daje hasło samopomocy oświatowej. Mówi sobie:

»Będe żebrał pieniędzy na wykształcenie ubogiej młodzieży«.

I staje się tym wielkim porozbiorowym jałmużnikiem naszej dzielnicy. Jedną ręką pieniądze zbiera, drugą rozdaje, hojnie z własnego mienia dodając.

Szafarstwo to zaszczytne pełnić będzie nieustannie, do śmierci samej.

Marcinkowski własną pracą lekarską zarabiał bardzo wiele, ale wszystko drugim rozdawał. To też za lat kilka, gdy już wobec blizkiego kresu ziemskiej wędrówki spisywać będzie ostatnią swą wolę, Marcinkowski pomyśli też o tem, co ziomkowie będą sądzili o jego stanie majątkowym. Pisze, że ludzi niepokoić nawet będzie pytanie:

Co on robił z dochodami, które magistratowi poznańskiemu w ostatnich zwłaszcza latach wykazywał?

W odpowiedzi na to tym ciekawym każe wyobrazić sobie człowieka rozrzutnego, który skoro tylko ujrzy jaką rzecz, co pasy (namiętności) jego dogodzi, nie pyta, czy rozsądnie rzecz tę kupić, ale dogadzając swej chęci, wyrzuca pieniądze.

»...Otóż taką samą chuć wlał Pan Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne cele mogłem dogodzić tej żarliwości mej duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak powiem, utwór, którym dysponuję (rozporządzam)«.

Oto cała tajemnica dobroczynności Marcinkowskiego.

Klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego właśnie on, a nie kto inny, spełnił dzieło, którego przecież dokonać

mógł każdy inny myślący obywatel wielkopolski. Przecież ciągle czytamy i słyszymy, że ten czy owa po śmierci swojej wielkie sumy zapisali na cele oświaty, na pomoc bratnią, na wsparcie dla młodzieży, na bursy, konwikty, domy dla robotników, czy inne cele szlachetne.

Tak, ale Marcinkowski jest tej samopomocy braterskiej pierwowzorem, on przykładem miłości i poświęcenia, on jest rozbudziacielem tego niezawodzącego i niespożytego hasła:

Zaspokójmy głód ducha ludu!

To zdziałała jego wielkoduszność, jego prawe i szlachetne serce, to jego, jak sam mówi, »zapamiętanie się« i jego żelazna wytrwałość.

I wróćmy na chwilę do jego ostatniej woli, gdzie wobec zbliżającej się śmierci czyni on na piśmie rachunek sumienia, który rodakom na pamiątkę chce zostawić. Mówi on tak:

»Drugie pytanie (które ludzi po jego śmierci niepościć będzie), to: dlaczego ten człowiek, tak zapamiętały, pracował do upadłego, uparty, nie zważający na żadne udzielane mu rady?«

A odpowiada:

»To tylko ten odgadnie i zrozumie, kto kiedykolwiek w swej duszy żywo uczuł, co to jest **pełnić powinność**«.

Przekonajmy się jednak, jak skromnym i pokornym jest ten duch wielkiego patrioty, gdy pisze:

»Tego żądła, tej niespokojności, którą Pan Bóg wlał w duszę moją (bo ja sobie nic nie dałem, wszystko, co we mnie było, są Jego dary, przez wychowanie ludzkości na szczegółowy jej pożytek skierowane), inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle **zajmując się pracą**. Mnie jeść i spać, choćbym był najbardziej zmęczony, nie prędzej smakowało, ażem całodzienną pracę zakończył. Prawda, że nieraz Bóg wiele po mnie wymagał; nigdy się na to nie oburzał, zawsze równie ochoczy byłem, gdy chodziło o to, aby **drugiemu dopomódz**«.

I prawda to niezbita, jasna, jak słońce na niebie.

W podobnych, jak u Marcinkowskiego, warunkach niezdrowia ciała, życie na t. zw. suchoty za lat trzy kończyć będzie Juliusz Słowacki, ten, co w poetycznej szacie narodowi zostawiając znany nam testament, odezwie się do nas:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec,
i jeśli trzeba, na śmierć idą po kolei,
jak kamienie, przez Boga rzucone na szaniec.

Zobaczymy, że Marcinkowski był już przedtem takim wzorem niesienia drugim kagańca oświaty przez życie całe, że on w pracy dla oświecenia drugich był tym pierwszym i największym kamieniem, rzuconym przez Boga na szaniec obrony narodowej!

Zatrzymaliśmy się naumyślnie tutaj nad wyjaśnieniem tego, jaką była istota Karola Marcinkowskiego w czasie jego życia, gdy przy zbudowaniu tego doskonałego dzieła, tej »wspaniałej budowy miłości«, ta piękna »dusza w odlocie« doszła już była do doskonałości. W tym końcowym okresie życia swego Marcinkowski na ziomków najpotężniejszy wpływ wywierał. On był tem naszym słońcem życiodajnym, które światło, pogodę, wesele, ufność, otuchę i wszelkie inne cnoty obywatelskie w sercach ludzkich zaszczepia.

Myśl założenia w Wielkopolsce Towarzystwa Pomocy Naukowej już roku 1829 powziął był dr. Feliks Antoni Kraszewski, dziedzic Tarkowa na Kujawach; porozumiał się już też z ks. Radziwiłłem, oraz arcybiskupem Wolickim. Obywatele ziemscy licznie zjechali się i zebrali w pałacu arcybiskupim celem założenia Tow. Pomocy Naukowej, ale do założenia go nie przyszło. Potem stanęły temu na przeszkodzie: śmierć ks. arcybiskupa, wybuch powstania — i zamiar usnął.

Dopiero Marcinkowski z Mielżyńskim dzieło podjęli, ale zaczęli je od drugiego końca, nie od zakładania insty-

tucyi, tylko od dawania pomocy; rozdawali wsparcia ubogim studentom; z tą chwilą Tow. Pomocy Naukowej w czy- nie już istniało.

Do projektu dawnego założenia zbiorowego stowa- rzyszenia powrócił atoli inny Karol, również wielki miło- śnik narodowej oświaty, myśliciel, Libelt, i to w piśmie przez siebie redagowanem. W »Tygodniku Literackim« w listopadzie roku 1840 ukazał się wzór do ustaw dla »Tow. wspierania młodzi kształcącej się Wielkopolski«. Wkrótce potem Marcinkowski miał już w ręku większą sumę gotówki czy zobowiązań, tak że ogółem zebrano 5.570 talarów pruskich, czyli przeszło 20.000 koron. Wtedy stworzyć już było można stowarzyszenie prawidłowe.

Ustawy, przez Marcinkowskiego przygotowane, spisał wtedy Aleksander Mendycki, sekretarz Tow. Ziemińskiego kredytowego, Marcinkowski je przetłumaczył na niemiec- kie i przesłał władzy do zatwierdzenia. Naczelnny prezes, Flottwell, ustawy przyjął, dodając, iż stowarzyszenie, przez Marcinkowskiego wywołane, będzie dla prowincyi dobro- dziejstwem, skoro tylko w życie wprowadzone zostanie. Ostateczne brzmienie statutu zatwierdził już nowy naczelnny prezes, hr. Arnim, **Towarzystwo Pomocy Naukowej** urzędowo potwierdzone zostało 21. września roku 1841, pracę jednak Towarzystwo rozpoczęło już było w marcu 23. tegoż roku i wybrało sobie zarząd, z dziewięciu członków złożony: Dr. Marcinkowski, prezes, Gustaw Potworowski z Goli, Wojciech Lipski z Lewkowa, Karol Stablewski ze Zalesia, dr. Antoni Kraszewski z Tarkowa, Józef Sułdrzyński z Lu- basza, profesor Popliński, ks. kanonik Jabczyński, Jędrzej Moraczewski.

Ci pracownicy dobrali sobie po powiatach mężów zaufania, których już w pierwszym roku było siedmnastu. Komitety powiatowe same sobie przepisywały sposób działania.

Towarzystwo Pomocy Naukowej odrazu poparł książdz arcybiskup Dunin, bo duchowieństwu polecił, aby cele Tow. Pomocy Naukowej popierało i do niego na członków

przystępowało. W rok potem nie zaniedbał zapytać się dyrekcyi, czy wskazaniu jego zadość się stało. Ale zacny arcybiskup nie doczekał się rozkwitu Tow. Pomocy Naukowej, gdyż, osłabiony całorocznem więzieniem w twierdzy kolobrzskiej za to, iż nie chciał zgodzić się na mieszanej wiary małżeństwa, umarł już roku 1842.



Maciej Mielżyński i Karol Marcinkowski.

Nietylko duchowieństwo dzieło Marcinkowskiego poparło; do kasy Tow. Pomocy Naukowej składki płacili i król niderlandzki i ci książęta niemieccy, którzy ziemię w Wielkopolsce posiadali. Dziś czasy inne!

Nie możemy w tak szczupłej książeczce podawać całych dziejów, ani też całego brzmienia ustaw Tow. Pomocy

Naukowej, ani też liczbami wykazywać błogich skutków jego półwiekowego z górą działania, to jednak napisać nam, a spamiętać sobie należy, iż ustęp pierwszy ustaw Tow. Pomocy Naukowej brzmi:

»Wydobywać z mas **ludu** zdatną **młodzież**, a wykrywszy jej talenta, obrócić ją na **pożytek kraju** i stosowny kierunek jej wykształceniu, jest celem zawiązującego się Towarzystwa«.

Paragraf drugi zaś mówi:

»Fundusze Towarzystwa pochodzą z dobrowolnych składek i ofiar, które od każdego, w jakiegokolwiek ilości, przyjmowane będą. Towarzystwo uważać się będzie za istniejące, skoro suma rocznych składek wynosić będzie 2.000 tal.«

Dzisiaj roczne zapomogi dochodzą do sumy 100.000 marek, z górą 120.000 koron, a przez siedmdziesiąt lat istnienia Tow. Pomocy Naukowej rozdało zapomóg blisko dwa i pół miliona koron. Setkom młodzieży dało oświatę, wykształcenie i chleb w rękę.

Przestańmy tutaj czytać dalej tę książeczkę, a zastanówmy się nad tem, co to za siła, co za moc i potęga światła weszła w naród, który o tylu oświeconych obywateli się pomnożył!

Co za korzyść moralna dla wszystkich stanów, i dla tych, co biorą, ale też i dla tych, co dają?

Jak się to krzepi miłość wzajemna i szacunek jednego stanu narodu dla drugiego, jak się to wzmacnia węzeł łączności, inaczej: solidarność narodowa?

A ta spójnia, ta jedność nasza w doli i niedoli, to zahartowanie się na przyszłe boje duchowe, wszystko to jest dziełem miłości i rozumu Karola Marcinkowskiego!

Szkoda, że nie możemy przytoczyć tutaj Marcinkowskiego »Głosu«, inaczej: przemowy, jaką założyciel Tow. Pomocy Naukowej miał na jego walnem zebraniu r. 1844. »Głos« to podniosły, wspaniały, to testament jego dla ziomeków nietylko wielkopolskiej dzielnicy czy zaboru pruskiego, ale dla wszystkich Polaków kraju i świata. Boć dzisiaj na

całej kuli ziemskiej Polacy sami sobie pomagać muszą, nikt im też, prócz Boga, nie pomoże.

Ale Marcinkowski wtedy r. 1844 mówił do samych ludzi wykształconych, więc sposób jego wysłowienia się, inaczej: styl jest tedy dość zawilym, trudnym do zrozumienia. Jednakże niektóre ważniejsze jego twierdzenia przy dobrej woli zrozumiemy i spamiętać je sobie potrafimy.

Dążąc do ugruntowania szczęścia wszystkich pojedynczych członków narodu, prezes Tow. Pomocy Naukowej tak mówił:

»...Jak wichry i nawałnice niszczą przyszeł zniwiarza nadzieje, tak przewrotności urządzeń towarzyskich (tyle co społecznych), niszczące swobody rodu ludzkiego, są przeznaczenia jego wrogami. Wzdryga się natura ludzka na wszystko, co duszę lub ciało krępuje, co jednej lub drugiemu wolnego rozwijania się dozwala, co w myśli swobodę uśmierza, a ciało niedostatkiem lub katuszą gnębi«.

A pamiętajmy, że wtedy to poddaństwo zniesionem w środkowej Europie jeszcze nie było, że jeden stan miał się za lepszy od drugiego, gdyż osobnych jeszcze zażywał przywilejów. Rewolucye, na »wiosnę ludów« r. 1848 wybuchłe, jeszcze ludom nie były dały równouprawnienia obywatelskiego. Uczy więc Marcinkowski i nawołuje nas, abyśmy wszyscy Polacy poczuli się wyzwolonymi, wolnymi na duszy i ciele:

»...Do takiego stopnia wyzwolenia, którego szczytem w duszy naszej jest samodzielne uczucie godności człowieka, społeczeństwo ludzkie tylko równem dla wszystkich rozkrzewianiem oświaty przyłożyć się zdoła«.

»Takie uznanie własnej godności jest przeczuciem Boga, z którego początek swój wzięło, a następnie stanie się źródłem najczystszej jego miłości, stanie się bodźcem do zamiłowania cnoty, do wywołania w sobie najczystszych poświęceń«.

»Bo z drugiej strony, kto w sobie samym godność człowieka raz uczuł, kto poznał bliskość tego Boga, na którego obraz i podobieństwo stworzony, ten i w każdym podobnym sobie, w każdym bliźnim, szanować będzie własną swą godność«.

A kiedy Marcinkowski roztacza, co on przez oświecenie prawdziwe rozumie, tak mówi między innymi:

»...Uczonym być nie potrzeba, aby uczuć, jakie stanowisko człowiek w utworze i porządku tego świata zajmuje, aby się obeznać z wartością swoją i przekonać o nietykalności praw przyrodzonych i nierozdzielnej od nich świętości obowiązków nabytych, których pierwszych strzeżenie, a pełnienie drugich podstawą towarzyskiej wolności stanów«...

»...Człowiekowi, co się ma uczuć wolnym na duszy.. potrzeba tylko siły samodzielnej własnego myślenia, nabytej rozwijaniem i ciąglem onejże ćwiczeniem«.

»...Czem oświata jest dla ustalenia wolności ducha w człowieku, tem ku oswobodzeniu ciała jest praca«.

»...Stosunek usługi pojedynczego na korzyść całości towarzyskiej równa pierwszego ministra z najniższym urzędnikiem, równa wyrobnika dziennego z zamożnym kupcem i właścicielem... Porządek towarzyski wymaga podziału pracy i obliczenia wartości tej pracy, chcąc ją na pieniądź zamienić. Sama w sobie nie jest żadna (praca) ani mniej, ani więcej znacząca: sama w sobie nadaje ona równy wszystkim szacunek w obliczu praw socyalnych«.

To samo mówiła już nasza staropolska piosenka, że

Praca nas tylko zdobi, zbogaca,

ale nie wszyscy jeszcze wtedy w to wierzyli; wielu się jej jeszcze wstydzilo, sądząc, że oni nie do pracy, tylko do używania stworzeni, ulepieni niejako z innej gliny. Wielu mieliśmy już obywateli dobrych i braterstwo stanów uznających, ale większej części jeszcze trzeba było tłumaczyć, że praca nas nie poniża, tylko że, przeciwnie, nas uszlachetnia.

W polityce »Głos« taki nazywa się obroną praw pracującego ludu — obroną praw ludu. Że Marcinkowski był jednym z pierwszych obrońcy tej poplecznikiem, więc też on jest twórcą zdrowej idei demokratycznej, t. j. samorządu oświeconego ludu.

Chociaż nie o to chodziło Marcinkowskiemu, żeby lud nasz do czynnej polityki wciągać koniecznie, jednak za lat pięć będziemy do sejmu pruskiego obierali brata włościanina, a nasz chłop wielkopolski najprędzej poczuje się kraju obywatelem. Ale Marcinkowski pragnął Polaków zrobić »wolnymi razem na duszy i ciele«, pragnął stany nasze zrównać społecznie i każdego »człowieka wynieść do wyższej potęgi obywatela w narodzie«.

Tego pragnął, nad tem całą duszą całe życie pracował i to — osiągnął.

To jego najprzedniejsza zasługa.

Na dziesięć lat przed nim Adam Mickiewicz w słynnym, odrazu jednym tchem spłodzonym utworze, tak zwanej Improwizacji, gdzie ducha swego technął na naród, wołał, że kocha cały naród — nazywa się milion i kocha miliony — że naród swój

chce dźwignąć, uszczęśliwić, chce nim cały świat zadziwić!

Innemi słowy, mową nie wiązaną, ale wprost to samo wypowiedział Marcinkowski w swego »Głosu« zakończeniu, powyżej podanem.

A że słowa te poparł żywota swego czynem i nieustanną dla narodu ze samego siebie ofiarą, więc wart jest podobnej, jak wieszcz nasz czci i wdzięcznej pamięci. Stwierdził to zaraz w dni kilka po zgonie Marcinkowskiego pisarz ludowy, Sierp-Polaczek, mówiąc:

Tyś to wydzwignął nowe pokolenie!
Tyś chciał rozpedzić czasów swoich cienie!
Tyś był sprężyną sił — potężnych dusz!
Tyś był ogniskiem mężów najwybrańszych,
Tyś był tajnikiem dążeń najkochańszych —
że Ci równego nie ujrzymy już!

Tow. Pomocy imienia dr. Karola Marcinkowskiego

dzisiaj i na zawsze nosi nazwę swego fundatora.

Przykład Marcinkowskiego pociągnął za sobą Prusy Królewskie, inaczej: Zachodnie, gdzie w Toruniu taką samą Pomoc Naukową założono. Niewiasty wielkopolskie i Prus Zachodnich na te same weszły tory. Ziarno cnoty obywatelskiej, przez Marcinkowskiego zasiane, przepłynęło oceany, gdzie instytucję podobną, t. j. samopomoc naukową, stworzono. Dzisiaj istnieje ona na Górnym Śląsku i wychodźcy nasi na zachodzie Niemiec mają swoje »Święto-józefanie«, pomoc w naukach dla tych, którzy się chcą poświęcić stanowi kapłańskiemu.

Wdzięczni za ten dar wiekopomny, ziomkowie nie opuszczali sztandaru Marcinkowskiego; ze stypendystów jego wyrastali dla kraju dzielni obywatele. Srebrny jubileusz Tow. Pomocy Nakowej uczcili oni pięknym znakiem widowym. Zawiązawszy się w komitet osobny z trzema na czele: ks. Karolem Wojczyńskim, dr. Ludwikiem Rzepeckim i Maryanem Cybulskim, zebrali znaczną sumę pieniężną i ufundowali za nią marmurową tablicę pamiątkową, która wmurowaną została w ścianę kościoła św. Wojciecha, gdzie Marcinkowski był ochrzczonym. Z reszty sumy utworzyli legat wieczysty, aby w tymże kościele odprawiano nabożeństwo żałobne w rocznicę śmierci wielkiego obywatela.

Komitet ten postarał się także o rozszerzenie pięknej ryciny, która dzisiaj znajduje się w każdym prawdziwie polskim domu. Miedzioryt to bardzo staranny, a oblicze Marcinkowskiego na nim bardzo wymowne.

Znikła gęsta czupryna i świetny błysk oczu, choroba smutkiem rysy wydłużyła; postać pochylona, a w całym obrazie wyraz mocy ducha, lecz smutku zarazem. Dłoń, wsparta na lasce, palcami przytrzymuje polską »rogatywkę«.

Złote gody Tow. Pomocy Naukowej zastały nas

w czasach takich, gdzieby Marcinkowskiemu znaku widomego na publicznem miejscu postawić nie pozwolono napewno. Bo tymczasem wychowańcy idei i pomocy Marcinkowskiego wyrosli na legion obrońców tych samych ideałów i stali się — potęgą. Te złote gody Tow. Pomocy Naukowej odbywaliśmy już po walce kulturalnej, po rugach pruskich i po ustawie kolonizacyjnej, chociaż jeszcze przed hydrą hakaty.

Nie stanął więc wtedy obelisk, ani posąg, ale posypały się grosze na fundusz jubileuszowy. I znowu utworzył się komitet uroczystościowy, z Augustem Cieszkowskim na czele, wybito medal pamiątkowy, urządzono poważne walne zebranie.

Wtedy już 4.000 przeszło stypendyów rozdano, wtedy urosły też ofiary tak piękne, jak dar jednej chłopki, która 60.000 marek na Tow. Pomocy Naukowej zapisała. Przemówienia, uczta wspólna w Bazarze, przez Marcinkowskiego założonym, przedstawienie w teatrze, apoteoza, czyli uwieńczenie popiersia Karola Marcinkowskiego, złączyły wszystkich stypendystów i działaczy na polu narodowo-społecznem.

I młodzież uniwersytecka przysłała swych przedstawicieli, którzy i prozą i rymami wyrazili hołd Marcinkowskiemu.

Tak jak gdyby za życia jeszcze Marcinkowski temi słowy miał przemówić do Polaków:

O, mój narodzie, kup się do gromady
i wiąż się w snopy i kuj się w ogniwa —
dłonie do pracy miej — głowy do rady,
w pracy i w radzie twa przyszłość spoczywa.

I wciąż budź wiedzę wytrwale, wytrwale,
i nieś jej iskrę od chaty do chaty,
bo ciepło życia nie leży w zapale,
ale w promiennem ognisku oświaty.

Więc gdy z maluczkich kto w orszaku bratnim
laknie jej, pragnie jako dżdżu w pustyni,

to się z nim groszem podziel choć ostatnim,
ten grosz ci skarbów tysiącznie przyczyni...

Tak wołał, woła z poza grobu ciągle, a my go słuchamy.

To też dzieło Marcinkowskiego jest potężne i żadna przemoc przewyciężyć go nie zdoła. Jest ono zatem solą w oku tych wszystkich wrogów polskości, którzy ostrzą sobie zęby na Tow. Pomocy Naukowej fundusze. Nie mogąc nas z nich jednak wywłaszczyć — bo takiej ustawy rządowej jeszcze nie ukuto — przeciwnicy nasi z konieczności nas — naśladują i na wsparcie swojej młodzieży a wypieranie naszej gromadzą fundusze. Ale nie z własnej wyciągają je oni kieszeni, pełnemi rękoma czerpią je z kas państwowych, w których i nasze polskie podatki są utopione.

Rodacy za kordonem austryackim o tyle od nas szczęśliwsi, że u nich przy szkołach ostały się jeszcze fundacye zapomogowe, bursy zasobne, czy innego rodzaju stypendya dla uczącej się dobrze i zdolnej młodzieży — tam stosunki dla młodzieży naszej pomyślniejsze, bo tam szkoły i wychowanie we własnem dzierżym rękę i za własne pieniądze coraz to nowe szkoły ludowe zakładać możemy.

Ale u nas co innego.

Bez Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego my tutaj bylibyśmy musieli stać się narodu częstką ciemniejszą i pośledniejszego niejako gatunku, najniższą kastą obywateli, tak zwanymi z indyjska »paryasami«.

Gdybyśmy przytoczyć tu mogli szeregi nazwisk tych młodzieńców, którzy za Marcinkowskiego Tow. Pomocy Naukowej kształceni, idąc śladem i wzorem jego, doszli na szczyty wiedzy, tobyśmy w poczcie tym ujrzeni wielu pomarłych czy żyjących dzisiejszych »luminarzy« i dostojników, którzy całemu narodowi polskiemu chlube przynoszą.

Więc cześć i hołd Karolowi Marcinkowskiemu, który nas wyzwalał od głodu ducha i jego ciemności!

Póki Polski, póty wielkie imię Karola Marcinkowskiego, założyciela i dobrodzieja Tow. Pomocy Naukowej, nie zaginie!

XIII.

NA SCHYŁKU ŻYWOTA.

Tyści ludowi był nad wszystko drogi,
Ciebie kochały i Twych celów wrogi,
Tobie i dumny w duszy czołem bił!
Czemuż więc, czemu serce nam zakrwawiasz,
Czemuż w sieroctwie tyłu nas zostawiasz? —
Obyś był raczej nam na wieki żył!!

Dał nam już Marcinkowski dwie instytucje, które po dziś dzień żyją i rozwijają się coraz bujniej. Ale mamy jeszcze do zapisania założenie dzieła trzeciego; mamy dowód tego, że ukochani współmieszkańcy miasta rodzinnego, że »bieda poznańska« osobną jeszcze pieczę i pomoc mu zawdzięcza.

W zawodzie lekarskim Marcinkowski musiał spotykać się z chorymi ubogimi, spotykać się częściej, aniżeli z bogatymi; bo często miał do czynienia z pacjentami, którzy nie mieli dość grosza na lekarstwo, ani też na łyżkę ciepłego rosółu.

Któż się nad tymi ubogimi cierpiącymi miał litować?

Nie wszyscy oni znajdowali miejsce w lazarecie miejskim, czy szpitalu Sióstr Miłosierdzia, jedynych wtenczas w Poznaniu leczniczych zakładach. Niejeden ubogi chory,

zanim się do nich dostał, przez chorobę zjedzony powędrował na »księżą oborę«.

Więc zapobiegliwy a dobroczynny Marcinkowski kolegów swoich w radzie miejskiej — bo jako rajca miasta Poznania, Marcinkowski nadzwyczaj był sumiennym i troskliwym — rajców innych przygotował na to, aby zarząd miasta, jako taki, inaczej: magistrat, przynajmniej zdrowych ubogich Poznania w stałą wzięł opiekę i starał się ubóstwu ulżyć, a co jeszcze ważniejsze, nędzy zapobiedz.

Do tego nowego dzieła zawezwał on wszystkich obywateli Poznania bez wyjątku, Polaków i Niemców; członkami jego zostali i nasz arcybiskup i superintendent, to jest najwyższy urzędnik ewangelickiego wyznania, i nad-rabin wyznania mojżeszowego. Bo miłosierdzie nie rozróżnia narodowości ni wyznania. Uczucie ludzkości każe ratować każdego ubogiego cierpiącego.

I wtedy to w roku 1845 Marcinkowski potrzebę i konieczność takiej pomocy wykazał w osobnem, znowu pięknem bardzo przemówieniu o zadaniach przyszłego »Towarzystwa ku wspieraniu ubogich i biednych«.

Oto znowu kilka pięknych jego myśli:

»...Dzieło to ma obejmować rozpoznanie całego obszaru nędzy i niedoli klas ubogich, upadających codzien pod uciskiem niedostatku, ma dalej zgłębić przyczyny ich nędzy materialnej, a następnie obmyślić środki usunięcia już dokuczającej biedy i zaradzenia grożącej«...

Tu znów podziwiamy przenikliwą roztropność Marcinkowskiego, który daje nam wskazówki takie:

»Węgielnym kamieniem dobrobytu ziemskiego jest praca. Dopiero ona pociąga za sobą skromność, rzadność we wydatkach, moralne prowadzenie się i sumienne pełnienie swoich obowiązków.

Otóż ludzi ubogich nasamprzód trzeba nauczyć, aby pracę pokochali, trzeba im dalej pracy dostarczyć, a następnie pracę tę wynagrodzić tak, aby człowiek pracujący mógł się uczciwie utrzymać.

Wtedy dopiero dobrze będzie się działo w społeczeństwie, bo każdy członek jego własną drogą dojdzie do poznania własnej godności, tej największej potęgi naszej duszy, której dotychczas ani religia, ani mniemana oświata wywołać nie potrafiły».

I tutaj znowu Marcinkowski okazał się wielkim znawcą kwestyi społecznej, inaczej: baczny socyologiem, który niedawno badał inne, szczęśliwsze od nas społeczeństwa obce. To, co Marcinkowski wtedy radzie miejskiej poznańskiej wyluszczał, do tego rządu państw, także i rząd niemiecki zabierze się dopiero za lat czterdzieści; dopiero wtedy, gdy już socjaliści dobrze zatrzęśli gospodarczemi podwalinami kraju, dopiero rząd zajął się sprawą dania pracy i zabezpieczenia ubogiego pracownika.

Nie minie pół wieku, a i Leon XIII, ów »papież robotników«, owo »Światło na niebie«, wyda hasło, aby duchowieństwo weszło w lud — ten ciężko pracujący — i razem z nim nad poprawą bytu doczesnego się zolizowało.

Więc śmiało twierdzić możemy, że Marcinkowski ubiegł prawodawstwo państwowe, że u nas pierwszym był, który od najbliższej sobie władzy, od miasta żądał pomocy dla ubogich, domagał się, aby miasto ubogim rodzicom dało pomoc do dobrego wychowania dzieci, inaczej: podstawowego, to jest elementarnego w ochronce, w szkole i przez oddanie w naukę rzemiosła, tak zwanego terminu.

Marcinkowski dalej pierwszy ze świeckich ludzi wykazywał, że pracującą ludność Poznania należy odprowadzać od niewstrzeżliwości w nadużywaniu trunków;

pierwszy też żądał, aby ludność roboczą uczyć **oszczędności** i odkładania grosza do kas — na »czarną godzinę«. Wtenczas pierwszy i jeden jedyny Marcinkowski u nas do tego zachęcał i głośno nawoływał.

Już przez to samo stał się on wzorem, poprzednikiem i niejako patronem tych wszystkich, którzy dzisiaj aposto-

lują za oszczędnością, zakładają kasy i banki pożyczkowe, którzy lud i naród wyzwolić chcą od jego największego wroga, od trucizny alkoholu w wódce, piwie czy winie.

Nie sądźmy jednak przypadkiem, że Marcinkowski mówił o tem tak sobie, żeby tylko mówić, a drugich popychać do pracy.

Bynajmniej. On sam od trzech lat już obiegał takie istniejące okręgi robotnicze, a wziął na siebie te najuboższe i najnędzniejsze dzielnice Starego Poznania, chorobami zakażane i nawiedzane powodzia: Śródkę i Chwaliszewo — byle tylko ulżyć tym najnędzniejszym.

Nie dziw tedy, że taką nadmierną pracą coraz więcej targał zdrowie, podkopane rozpanoszonemi płuc suchotami. Pogarszał je też jeszcze ustawiczną konną jazdą, którą od czasów ulańskich uprawiał namiętnie. Koni własnych zawsze kilka trzymał na stajni, bo wierzchem do chorego dojechał prędzej, niż wozem. Przeczuwał, a jako lekarz miał pewność prawie, że długo już na tej ziemi nie będzie przebywał, a chciał jeszcze jak najwięcej dobrego bliźnim wyświadczyć. Kiedy już bardzo wyczerpany był pracą, na wypoczynek jeździł na wieś do przyjaciół najczęściej do Dąbrówki Ludomskiej, własności Wiktora Łakomickiego, i tam krótkich używał wczasów. Od konnej jazdy gwałtownej dostawał często nerwowego bólu w udzie i na to leczył się w górskiej miejscowości Dusznikach (Reinerz), na pograniczu śląsko czeskiem. Nie te bole jednak najwięcej mu dokuczały.

Bolała go dusza — serce przeczuwało nowe dla nas kłęski. Wychodźcy nasi, na obczyźnie politykujący, nie przestawali dążyć do odzyskania niepodległości z bronią w rękę. Przygotowywali nowe powstanie. W tym celu wysyłali oni do wszystkich części Polski umyślnych działaczy tajnych, tak zwanych emisaryuszy, którzy lud do powstania przygotowywali tak, iżby jednocześnie w trzech zaborach Polacy z orężem w rękę się podnieśli.

Marcinkowski o przygotowaniach tych dobrze wiedział; był im przeciwny, wpływu swego używał całego, aby współobywateli odwieść od podniesienia powstania. Mimo to stało się inaczej.

W poznańskiej cytadeli na Winiarach zamknięci już byli ci, którzy usłuchali byli wysłanników Mierosławskiego. Coraz to więcej ludzi, podejrzanych o spiskowanie przeciw państwu pruskiemu, zabierano do więzienia. Wspomina o tem naoczny świadek, profesor Marcelli Motty, który tak pisze w swoich wspomnieniach:

»Nader boleśnie dotknęły wypadki te Marcinkowskiego. Przyszedłem do niego, nie pamiętam już, którego z owych dni (w lutym), koło trzeciej po południu (mieszkał już wtenczas przy Podgórznej ulicy) i zastałem go pogrążonego w głębokim smutku. Trapiła go ustawiczna myśl, że pójdzie teraz w niwecz wszystko, co się dla publicznego dobra zrobiło, i zaczął o tem ze mną rozmawiać, chodząc niespokojnie po pokoju. Naraz stanął w oknie, skiwnął na mnie. Ujrzałem z drugiej strony ulicy żandarmów, prowadzących schwytanego Słupeckiego, znanego nam wszystkim i powszechnie lubianego urzędnika Ziemstwa Kredytowego«.

»Marcinkowskiemu oko lżą zaszło: odwrócił się, przerwał rozmowę, a rzuciwszy się na kanapę, popadł w głęboką zadumę«.

Innym razem, kiedy jeden z kolegów, do spisku należących, przed samym wybuchem napadu na fortecę, przybył do Marcinkowskiego z zapytaniem, co ma robić, nasz lekarz ran społecznych z wyrazem oburzenia, ale i ze łzami w oczach zawołał:

— Kiedyś mnie przedtem nie pytał, co masz robić, to teraz bierz pałasz i stawaj na czele!

A kiedy z Galicyi wieść przyszła straszna, że »brat zabił brata« mieczem, który w rękę szalonemu ciemnemu wtłoczyła ręka zbrodnicza, wtedy już choroba Marcinkowskiego do ostatecznego doszła rozwoju. Potem upały miej-

skie stały mu się już nieznośne, w sierpniu tedy wybrał się do swej ukochanej Dąbrówki, w październiku spisał swój przepiękny testament i sam złożył go w sądzie w Rogoźnie. Spotkał go wtedy ten sam druh, Marceli Motty, i tak o tem spotkaniu opowiada:

»Przejeżdżając przez Rogoźno, w bliskości którego leży Dąbrówka, spotkałem go na ulicy, wracającego właśnie ze sądu, w którym testament swój złożył. Był bardzo zmieniony i wychudły, a oczy dziwnie mu się świeciły; nie widzieliśmy się bowiem od marca. Poszedłem z nim do oberży, gdzie konie jego czekały. Wypytywał się o szczegóły nowego zawodu, którego się chwycilem, i rozmawiał tak o tem, jak o innych rzeczach, z pół godziny. Chwilami był poważny i rozczulony, chwilami żartował, a gdy się o jego zdrowie zapytałem, machnął ręką i rzekł:

— O tem już nie wolno mówić!

Przy pożegnaniu uściskaliśmy się serdecznie, a zrobiło mi się bardzo miękko, bo widziałem, że koniec z człowiekiem, a na takiego długo będziem czekali«.

Przyjaciele Marcinkowskiego czuwali nad nim czule, szczerze a delikatnie, zblizka i zdaleka, odwiedzali go często. Ale to wszystko nie rozpędziło Marcinkowskiego smutnego przecucia. Na dwa miesiące przed śmiercią pisał on był do Macieja Mielżyńskiego, że znowu »krwią pluł« — a ciągle jeszcze ubolewał nad tem, iż już nie może w pracy być przydatnym:

»...No, panie Macieju, tylko łeb do góry; przejdziem przez ten świat, jak pielgrzymi przez puszcę, wiatr za nami wszelki ślad stóp naszych zasypie«...

Tak pisał w napadzie smutku — a w wielkiej skromności i w żalu, iż więcej już nic nie zdziała, mówi dalej:

»...A smutno wspomnieć, że byłby się człowiek mógł na coś przydać. Był człowiek może potrzebny do skompletowania liczby. I tak dobrze«...

Dał Pan Bóg Marcinkowskiemu łaskę, iż konaniem nie męczył się długiem. Strudzone powieki przyjaciele zamknęli mu o godzinie dziewiątej wieczorem dnia 7. listopada 1846 roku.

Skończył jak szermierz na posterunku — pracując do ostatniej chwili chwalebnego żywota.

Zgon jego całą Polskę okrył żałobą.

XIV.

POGRZEB KAROLA MARCINKOWSKIEGO.

Ani mnie ród Twój, krew Twa nie zaszczyca,
jednak ja Ciebie czezę jako rodzica,
co bez przykazań rad swój zaszczyt czi.
Czezę Cię! A chociaż świętsze Twoje lata,
Kocham cię oraz jak milego brata,
Nogi i usta wraz całuję Ci!

.....

Śmierci, tyś sroga! Ach, tyś zbyt okrutna,
często nas gorszy młodzież czeza, rozrzutna,
hańbi nasz naród tylu ziomek złych!
Im to, choć wszystkim, mogłaś wyrwać duszę!
Czemuż ja dzisiaj Męża płakać muszę,
Który był szczytem w idealach mych?

*(«Na zgon Najczcigodniejszego Męża» —
Sierp-Polaczek).*

Gdy wieść o zgonie Karola Marcinkowskiego rozniosła się po Wielkopolsce, jeden jęk żalu popłynął wzdłuż i wszerz naszej dzielnicy. Najwięcej, najgłośniej i najszczerzej płakali ubodzy poznańscy, którzy swego dobroczynnego opiekuna już trumnę tylko oglądali wtedy, gdy ją ze wsi do Poznania przyniesiono.

Marcinkowski chciał, aby go pochowano na cmenta-

rzu w Parkowie, albowiem do tej parafii Dąbrówka Ludomska należała. Pogrzeb jego miał kosztować tyle, ile pochów ubogiego człowieka.

»Byłem całe życie nieprzyjaznym okazałościom pogrzebowym, razi mnie dreszcz, kiedy myślę, że mogliby mnie z pompą pochować. Trumna ordynaryjna (zwykła), czechel, zwyczajna, pokładna, koszta wyniesienia i zagrzebania, bez tego się obejść nie można, ale też żądam, żeby nic więcej nie było. Pochować ciało prosto w ziemię, gdzie kolej wypadnie, nie kłaść żadnego znaku na grobie.

A jak jaki grosik się oszczędzi, rozdać pomiędzy ubogich«.

Nie stało się tak jednakże. Głos ogólny wołał, że prochy jego naród chce mieć w stolicy; chciano grób jego mieć tam, gdzie Marcinkowski się urodził, gdzie tyle po sobie zostawił świadków, krewnych po duchu i wdzięczności.

Czasy to były politycznie niespokojne; wielu naszych siedziało za kratami więziennymi; można się było obawiać zaburzeń — zwłaszcza wybuchów gorącej miłości tego wszystkiego, co Marcinkowski nad życie własne umiłował. Więc przyjaciele wielkiego zmarłego osobiście i uroczystie władzy policyjnej poręczyli, że do zaburzeń z powodu pogrzebu nie dopuszczą, że oni na siebie biorą odpowiedzialność, iż spokój publiczny zakłóconym nie zostanie.

I tak się stało. Policyja pruska nie miała powodu do wkroczenia, choć, co prawda, mogła słusznie obawiać się jakiego żywiołowego wybuchu, bo żal głęboki, uwielbienie bez granic, osierocenie istotne, pragnienie uczczenia prześladowanego patrioty — wszystko to rozpierało serca Wielkopolan.

Posłuchajmy tylko, co o pogrzebie tym najwyższy urzędnik policyi pruskiej w Poznaniu donosił do ministerium, i opisem tym zamknął akta osobiste, jakie tam w Berlinie o czynach i działaniu Marcinkowskiego spisywano skwapliwie.

Oto, co napisał prezes policyi, Minutoli:

Poznań, 11. listopada 1846.

Do ministra stanu Bodelschwingha

w Berlinie.

Dr. Marcinkowski nie żyje. Choć rząd w ten sposób uwolnił się od wpływowego przeciwnika, to jednak sprawiedliwość zmusza nas do uszanowania i do należytego uznania nawet w przeciwniku szlachetności, prawości i dobroczynności.

Już oddawna byli wszyscy przygotowani na wiadomość o śmierci, a jednakże dopiero gdy przysłała wiadomość o śmierci, można sobie było zdać sprawę z rozmiaru straty.

Śmierć miał lekką, bez cierpień. Do ostatniej chwili zachował zupełną przytomność. Dwa dni przed zgonem wyraził życzenie, aby jeszcze raz miasto Poznań zobaczyć. Był jednakże za słaby i miał pełno ran na ciele, tak że jego przewiezienie wydało się niemożliwym. Życzył sobie być pochowanym we wsi Parkowie, aby zapobiedz wszelkim manifestacyom i pompie pogrzebowej. Życzył sobie, aby go pochowano w zgrzebnej koszuli i w prostej trumnie, w jakiej chowają zmarłych w szpitalu miejscowym. Przy jego zwłokach zobowiązali się jego zwolennicy słowem i przysięgą, że wszystko uczynią, aby **dzieła**, przez niego do życia powołane, **wspólnemi siłami dalej prowadzić w jego duchu.**

Co się tyczy pogrzebu, przyjaciele Marcinkowskiego postanowili inaczej, mianowicie, aby się odbył w Poznaniu, raz dlatego, że się tutaj urodził i tutaj przeważnie pracował dla biednych, dla nauki i **dla polskiej sprawy**, więc miasto Poznań nie może się zrzec posiadania jego grobu; po drugie dlatego, że w Parkowie spodziewano się zjazdu ludzi najrozmaitszych poglądów i obawiano się wybuchów patryotycznego uczucia i przykrych zająć.

Tak więc postanowiono, aby zwłoki tu przewieźć,

odebrać je na stokach cytadeli i w uroczystym pochodzie przez miasto na cmentarz choleryczny św. Marcina i tam pochować«...

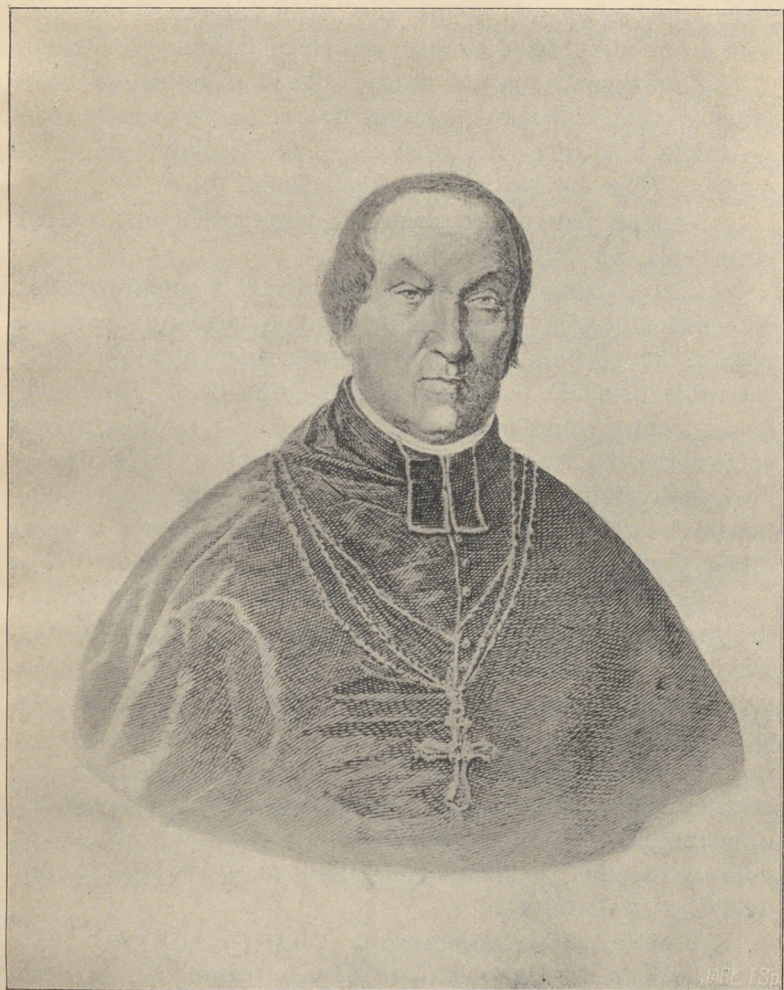
»...Dziwnym zbiegiem okoliczności pogrzeb przypadł na dzień św. Marcina, 11. listopada. W dzień ten, jako w ulubione święto tutejszych katolików (dzień imienin zmarłego arcybiskupa Dunina), gromadzą się podczas wielkiego odpustu tutejsi parafianie, zwłaszcza politycznie bardzo niespokojni i w obecne śledztwo wmieszani mieszkańcy Górczyna. Proboszczem kościoła św. Marcina jest ksiądz Kamiński, oddawna z tego znany, że swoje polskie przekonania na wszelki sposób publicznie objawiał i przenieść je usiłował w swoje czynności kościelne.

Z drugiej strony według wieści, obiegającej wśród publiczności od pięciu tygodni, 11. listopad na to przeznaczony, by spróbować uwolnić więźniów¹⁾, albo zakłócić porządek publiczny. Oprócz tego uroczystość przypadła na środę popołudnie, kiedy po szkołach i gimnazyach nauka się nie odbywa i dlatego uczniowie gimnazjum Maryi Magdaleny mieli sobie za obowiązek biegać po warsztatach rzemieślniczych i namawiać robotników, aby wszyscy wzięli udział w pochodzie. (Młodzież chwalebnie zastępowała tutaj brak dzienników ludowych, którychśmy natenczas jeszcze nie mieli. Uw. aut.) Że magistrat i rada miejska, której członkiem zmarły był od lat wielu, towarzystwo strzeleckie i cechy wezmą udział w pogrzebie, to można było przewidzieć i trzeba było doświadczonym i przezornym urzędnikom powierzyć utrzymanie porządku i dozór nad olbrzymim tłumem, w którym niemało było osobników, skłonnych do politycznego krzykactwa i nadużyć (!!!²⁾)«...

»...Wczoraj w Bazarze pewna ilość polskiej szlachty i obywateli zobowiązała się wobec mnie, że mnie wspie-

¹⁾ Aleksandra Guttrego, Władysława Niegolewskiego, Jana Palacza, Józefa Lipińskiego i wielu innych, w lutym tegoż roku uwieczonych. (Przyp. autora).

²⁾ Czapka znów zagorzała.



Arceybiskup ks. Leon Przyłuski,
przewodniczący »Ligi Polskiej« w Kórniku, r. 1848 założonej.

rać będą, aby usunąć możliwie każdy niestosowny wybuch uczucia, aby wstrzymać niepowołanych mówców, ponieważ świeckim osobom nie wolno mieć mów żałobnych nad grobem, i aby nie ubliżać pamięci zmarłego jakimi wybrykami.

Zapewniono mnie z tamtej strony o gotowości działania w tym kierunku, a swoją drogą porozumiałem się także z komendanturą co do środków ostrożności, które mi się wydały konieczne.

(Jednak pan pruski urzędnik poręczycielom z naszej strony nie wierzył. Uw. aut.).

»...O godzinie trzeciej pochód ruszył z cmentarza św. Wojciecha długim szeregiem żałobnych uczestników i powozów. Arcybiskup z duchowieństwem szedł przed trumną. Na czele pochodu postępowały wszystkie cechy z pochodniami, chorągwiami i berłami, uczniowie i towarzystwa śpiewackie. Za trumną szła generalicya, wyżsi urzędnicy wszystkich dykasteryi, szlachta polska, obywatele miasta i lud wiejski z okolicy. Można liczbę uczestników i widzów cenić bez przesady na 20.000 głów.

Za trumną szła dziewczynka biało ubrana, może lat dziesięciu, i na małej czerwonej poduszce niosła gruby wieniec z liści. Mówiono, że pod nim znajdował się polski order, który Marcinkowski otrzymał w czasie polskiego powstania.

Zachowanie się tłumu było zupełnie spokojne, poważne i godne uroczystości. Nie zaszedł nawet najmniejszy nieporządek i trzeba przyznać, że na Polakach zrobiło to dobre wrażenie, że niemiecka publiczność wzięła ogólny udział w uroczystości.

Trumnę niesli naprzemian chłopci, obywatele i szlachta. Nad grobem arcybiskup trumnę jeszcze raz pobłogosławił i spuszczone ją do grobu wśród stosownej pieśni, śpiewanej przez towarzystwo śpiewackie. Mowy nad grobem wprawdzie nie było. Jednakże pan Lipski (tak zwany »owczarz«) trzymał jakiś papier w ręku i miał jakoby zamiar, aby zwrócić na siebie uwagę, jako na mówcę, ale Chłapowski, Mielżyński, Potworowski i Zakrzewski

przyrzekli sobie nawzajem, że nikogo do słowa nie dopuszczą. Pochód pogrzebowy aż do spuszczenia trumny trwał blisko cztery godziny. Patrole wzmocniono na tę noc«...

Jeżeli przeciwnicy Marcinkowskiego taki hołd mu oddali, to co dopiero mówić o bólu i żalu rodaków. Nabożeństwa żałobne odbywały się we wszystkich prawie miastach naszych. We farze poznańskiej kazał ksiądz biskup Janiszewski, na drugim nabożeństwie w tymże samym kościele niemieckie kazanie żałobne miał ksiądz Gertig.

W Pleszewie dwóch mówców żałobnych podnosiło zasługi zmarłego działacza; w Środzie, w Wągrówcu, wszędzie się za spokój jego duszy modlono, wszędzie hojne datki na Tow. Pomocy Naukowej się sypały.

A co w naszych gazetach na Marcinkowskiego zgon napisano?

»Przyjaciel Ludu« leszczyński tak krótko, ale szczerze i po prostu żale swoje wylewa:

»Mąż niespracowany, który swe życie w najściślejszym znaczeniu dla dobra ogółu poświęcił. Nie wiek bowiem, ani słabowitość, lecz nadzwyczajne natężenie sił przecięło zbyt prędko pasmo dni jego. Żyjąc wyłącznie dla drugich, nie znał wcale rozkoszy światowych, chociaż mu się tysiączne sposobności podawały. Gardził bogactwem i wygodami, choć z łatwością mógł zbierać tysiące; gardził zabawami, choć go każda familia pragnęła i na rękach by go nosiła, gdyby się pokazał; gardził wreszcie zaszczytami, choć je łatwo mógł pozyskać, byleby się o nie starał.

Słowem, był to mąż rzadki.

Nie znając wcale ponęt świata materyalnego, żył samą szlachetnością. Z sercem, które tylko poświęcenia pragnęło, i rozumem, który jasno potrzeby kraju pojmował, łączył żelazną wolę. Dlatego, cokolwiek w duszy jego powstało, zostało urzeczywistnione, a jeżeli okoliczności były po temu, że ich nie mógł zwalczyć, wtenczas jeszcze większa boleść panowała w jego duszy, aniżeli radość, gdy

dopiął celu! Nie z próżności to jednak pochodziło, lecz ze szlachetnego zapału, a zarazem z gniewu, że czyn dobry owoców wydać nie może.

Śmierć takiego męża jest stratą niepowetowaną.

Kto ma serce prawe i szlachetne, kto kocha swój kraj, ten uznaje tę wielką klęskę.

Lecz nie łzami oddajmy mu ostatnią cześć; Mąż Czynu wymaga i od nas czynu. Dość już długo zapatrywaliśmy się na Jego życie, pełne poświęcenia. Pokażmy teraz, że Jego praca nie była bezowocną, że duch Jego i nas owiał.

Niechaj nas połączy jedność, niech każdy z nas poświęca się wedle sił dla drugich, a duch Marcinkowskiego wiecznie nam towarzyszyć będzie!

I towarzyszy nam na szczęście do dzisiaj.

Polacy wierność Marcinkowskiego sztandarowi przysięgli i — dotrzymali. Poszli wiernie za nauczycielem pracy i oszczędności, zbratania się stanów — oświaty i wiedzy.

Wszystko to, co potem u nas w Wielkopolsce, począwszy od Ligi Polskiej, stanęło, wszystkie te dobre i pożyteczne dzieła, ta praca nad oświatą ludu, to duchowe dzieci Karola Marcinkowskiego.

Mogilę jego czią otoczono — kto tylko do grodu naszego zawitał, do grobu jego pielgrzymował.

Szcątki jego pośmiertne do roku 1909 spoczywały na tak zwanym małym cmentarzu Świętomarcińskim — a że grunta dookoła cmentarzyka tego coraz to bardziej zabudowywano, tak że miejsce święcone zetknęło się już ze składami kolei żelaznej, przeto rodzina Marcinkowskiego wniosła o pozwolenie przeniesienia grobu na cmentarz staro Marciński większy i złożyła je w narożniku, nad zagajeniem i drogą, nazwaną przez nas »Parkiem Marcinkowskiego«.

W akcie tym uroczystym o udział zaszczytny, choć cichy, dopominali się ci bliscy, którzy pod hasłem Marcinkowskiego pracują zawodowo, to jest lekarze poznań-



Szafa z pamiątkami po Marcinkowskim w poznańskim Muzeum
Mielżyńskich.

scy, z których kilku przytomnych było temuż zwłok przeniesieniu.

A odbyło się ono wczesnym rankiem, o szóstej, w miesiącu kwietniu r. 1911.

Przedwstępne prace rozebrania mogiły zostały już poprzednio ukończone, glaz polny odwalony. W ścisłym kółku kolegów zawodowych, lekarzy poznańskich, zabrano się do odkopania ziemi dokoła trumny. W uroczystej ciszy zdjęto wieko dębowe. Na kościotrupie odzieży nie było już można rozpoznać — zachowała się jednak chustka jedwabna dokoła kręgow szyi.

Niedaleką drogę miał pochód żałobny do nowego miejsca spoczynku, które dzisiaj tą samą odwiedzone krata, tym samym przywalone kamieniem.

Cześć, jaką oddajemy pośmiertnym szczątkom Marcinkowskiego, przenosimy też na drobne, mniej czy więcej cenne przedmioty, które były w Marcinkowskiego używaniu. W naszym Muzeum imienia Mielżyńskich zabytków tych sporo:

W pięknej szafie gdańskiej osobno zachowana maska pośmiertna, która z boku, czyli profilu, wykazuje pewne Marcinkowskiego podobieństwo do rysów wielkiego narodowego włoskiego poety, Danta. Są tam i pierścienie włosów, jest czapka rogatywka, którą przed śmiercią głowę nakrywał, jest laska hebanowa ze złotą gałką, na której się wspierał, wspinając się do chorych na poddaszach. Jest i tabakierka, malowana na perłowej macicy: gospodarz, opasły, w szlafmocy, zasypia oparty o beczkę wina czy piwa. Widzimy tam i lichtarz z daszkiem do przyćmiewania światła, tak zwany abażur. Kilka puharów czy kubków kryształowych, w których Marcinkowski się lubował, stoi na drugiej półce. Na trzeciej widzimy puzdro z instrumentami lekarskimi, przeważnie chirurgicznymi, zapomocą których Marcinkowski tyle przyniósł ulgi cierpiącej ludzkości. W tej samej szafie przechowuje się tymczasem i dywan, krzyżkową robotą wykonany, a przedstawiający pięć postaci żołnierza polskiego z roku 1830. Prawdopodobnie była

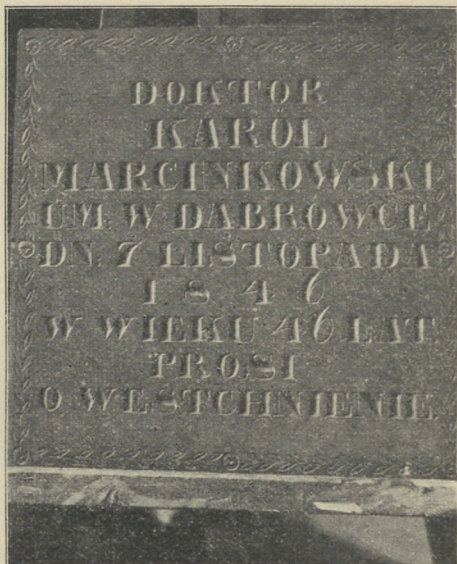


JABŁ. i Sp.

Dywan pozostały po Marcinkowskim (z orłem i z postaciami żołnierzy z r. 1830).
Z poznańskiego Muzeum Mielżyńskich.

to zbiorowa praca Polek, które Marcinkowskiemu dywan ten wyszyły; do ogólnego zbioru pamiątek ofiarowała go ś. p. Leonowa Mielżyńska z Pawłowic.

Zdjęta z byłego pomnika w Dąbrowce Ludomskiej tablica tutaj też się przechowuje. U samej góry widzimy małą szkatułkę do tytoniu i cygar, żółtą skórą we wzory



Tablica z byłego pomnika Marcinkowskiego w Dąbrowce Ludomskiej.

obitą; w niej przechowana książeczka z Marcinkowskiego przepisami lekarskimi, inaczej receptami.

Obok szafy widzimy siodło z jasnej skóry, na którym ku końcowi życia wielkoduszny lekarz wycieczki swoje odbywał. Dobrze ono zachowane i mocne, płótno podbitki tylko się przetarło.

I tak pamiątki te, ze czcią zbierane i przechowywane, i droga mogiła, chociaż nie »w górę urosła«, przypominają

nam ciągle najprzedniejsze nasze narodowe i społeczne obowiązki. Skromne one, ale właśnie prostotą swą wymowne.

Pomnika świetnego Marcinkowskiemu rodacy tutaj wystawić nie mogą publicznie, ale pamięć jego stale noszą w swem sercu. Na ziemi innej dzielnicy wznosi się jego popiersie, widnieje ono n. p. w kole zasłużonych krakowskiego Parku Jordana. Ale na pomnik daleko okazalszy, przez całą Polskę wzniesiony, Marcinkowski sobie zasłużył, gdyż całą Polskę on pracować i oszczędzać, oświecać i pełnić powinność nauczył.

Dziś jest płomieniem, o duchu Karola!
to, coś w narodu pierś złożył w iskiecce.
Stała się ludu wolą — Twoja wola,
stało się ludu sercem — Twoje serce.

KIM TEDY BYŁ KAROL MARCINKOWSKI?

Teraz już sami odpowiedzieć sobie możemy, po tem, cośmy w poprzednich kartkach przeczytali.

Jako człowiek

był kochającym synem, dobrym i troskliwym bratem, pomocnym stryjem czy wujem, wychowawcą i dobrodziejem swoich krewnych.

Matkę starszkę stracił był r. 1831, wtedy gdy wojował za wolność ojczyzny. Ale za życia jej zawsze najczulszą otaczał ją miłością, zawsze z więzienia słał do niej słowa uspokojenia i nadziei.

Dzieci rodzeństwa swego szczerą otoczył opieką. Dał im wychowanie, wykształcenie, zawsze nazywał je swojemi — jakby własnemi, a przed śmiercią jeszcze polecił ich opiece przyjaciół i byt materyalny im zapewnił, żeby sobie na życie uczciwie mogły zarabiać.

Sam własnych dzieci nie miał, ale za to przygarnął do siebie ubogą młodzież pracującą, ciepłą ręką już za życia majątku znaczną część oddał swym dzieciom przybranym, t. j. uczciwej młodzieży całej Polski.

Dla przyjaciół był wylany i serdeczny, chociaż mniej blizkim nieraz do siebie dostąpić nie dozwolił. Mówi też o tem w ostatniej swojej woli, że jeżeli na pozór sam był odpychającym dla drugich, to dla wyobrażenia najzupełniejszej niezależności.

»...Całe me życie najwyższe me szczęście zakładałem na zupełnej niezawisłości od świata, wszystkiego sobie odmówić byłem w stanie, i dziś, gdy się z tym światem rozstaję, odchodzę bez żalu do wczoraj, bez życzenia na jutro«...

Zawsze sam sobie wystarczył — nie chciał pomocy ni łaski drugich. Może dlatego zwłaszcza, iż Marcinkowski był w czasach, kiedy u nas nie wygasły jeszcze przesady o przywilejach, gdy n. p. większość szlachty-ziemian jeszcze miała się za coś niezwykle lepszego i wyższego od stanów innych — a może nieraz nawet i Marcinkowskiemu samemu dała to uczuć.

Bo za to apostołowanie na rzecz ludu, za ten bój ciągly o jego oświecanie, za tłumienie przedwczesnych porywów nowego powstania — na krótko przed zgonem naraził on sobie część tych ziemian, którzy Marcinkowskiego działanie dla dobra ludu, to działanie demokratyczne, uważali za zbytek gorliwości, za przesadę, i wybaczyc mu tego nie chcieli, a nawet głośno na niego sarkali.

Ale on się nie ugiął — dalej walczył dla idei. Więc mimo to większość szła za nim, część przynajmniej przeszkadzać mu nie śmiała, a może i nie umiała. Znaną to bowiem rzeczą, że przeciętni ludzie nie lubią tych, którzy ich do pracy czy ofiarności nakłaniają, że do nich raczej powezmą urazę, a chcieliby już nie usłyszeć tego »budzenia śpiących«.

Więc też i ci, co spać nadal chcieli, albo którym z ludem ciemnym wygodniej było, ci Marcinkowskiemu nie chcieli darować tego popychania do czynu. A jednak w tem działaniu Marcinkowskiego i największy »arystokrata«, czyli zwolennik »rządzenia najlepszych«, jak n. p. poeta Zygmunt Krasiński, zmarłemu działaczowi nie nie

mógł przyganić. Przeciwnie, pisze on do przyjaciela te słowa:

»...Marcinkowski umarł — demokratą był z serca i rozumu — ale to był święty demokratą, najzaczniejszy i najprawszy człowiek i Polak bez skazy. On pojmował demokrację po Chrystusowemu... Niechże nas ratuje Bóg sam, kiedy najdzielniejszych, najcnotliwszych, najlepszych odbiera«...

Piękne świadectwo, tem piękniejsze, iż pochodzi od człowieka, z którym Marcinkowski do dziś dnia dzieli wpływ na Polskę żyjącą.

Jeżeli Marcinkowski na krótko przed śmiercią okazywał pewną drażliwość, to naprzód wypływać mogła ona ze stanu jego zdrowia. Człowiek ten całymi okresami życia nie sypiał wcale, bo go i nocą do zarażonych i do innych chorych odwoływano — a czekającej na niego pracy za nic w świecie nie byłby opuścił.

A jeżeli innych drażniła jego nieprzystępność czy zgoła duma, to może naumyślnie dumnym był on wobec tych, którzy właśnie ponad niego, czy innych się wynosili i to nie osobistą zasługą — bo tą zasługą Marcinkowskiego sprostać było trudno — wręcz niemożliwie.

Kto wie, czy Marcinkowski wobec niektórych ludzi nie dlatego właśnie głowę tak wysoko nosił, że on sam ciągle drugich nawoływał do podnoszenia godności człowieka — bo jemu samemu może właśnie ta kastowa pycha złamała szczęście osobiste — może dlatego, iż nie ze szlacheckiego był stanu, za dozgonną życia towarzyszkę nie otrzymał tej, którą kochał. Że jednak Marcinkowski miał to gorące pragnienie miłości osobistej, tego dowodem ustęp z jednego do przyjaciela listu, gdzie jeszcze przed powstaniem listopadowem pisze:

»...Znam także, znam silny popęd, nieugiętą sprężystość szalu, kiedy się raz na dobre oszańcuje w sercu«.

A wiemy już, iż ogólny głos mówił, że tą wybranką jego serca była szlachetna dziewczica, opromieniona blaskiem szlachetnej ofiary i chrześcijańskiego miłosierdzia — ale

ten sam głos ludu utrzymywał, iż połączeniu się obojga właśnie rodowa duma stała na przeszkodzie.

Wspomnienie pośmiertne tak te cnoty Marcinkowskiego określa:

Podbił on sobie serca i rozумы,
rozwarł podwoje najdrożniejszej dumy!
Sama go błaga: »Wnidź w me progi, wnidź!«
I samolubca nie jest dlań nieczuły —
Sknera, a rad z nim dzieli swe szkatuły!
Lud zaś go gotów jak świętego czcić!

Mogłeś bezpiecznie skarbów nagromadzić,
Mogłeś się szumno w świetny przepych sadzić,
Mogłeś swe łoża aksamitem ślać!
Aleś Ty tylko żył dla szczęścia ludu!
Tyle znosiłeś dla swych bliźnich trudu,
żeś się aż musiał — ach — ofiarą stać!

.....

Ty się zaś zrzekłeś nawet technień słodyczy,
jakich i nędarz swemu sercu życzy,
luboś miał wybór w gronie Polek enych.
Tybyś był gotów zrzec się i aniola,
aby nie zwiężyć działań swoich koła,
chcąc mieć za dzieci choćby cały świat!
Ty to i starszych dobrym ojcem byłeś:
iluż swą łaską na swych synów wzbileś,
rad ich szukając i w zakątku chat?

Jako lekarz

Marcinkowski był jednym z najbieglejszych znawców sztuki leczniczej. Z pobytu zagranicą przywiózł on nawet kilka rozpraw własnych z tego zakresu, mówiących o najnowszych wynalazkach w sztuce leczenia, inaczej terapii. Jedną z nich napisaną była po francusku, inne po polsku, wśród nich rozprawka o kołtunie.

Marcinkowski był lekkiej ręki, zręczny, przedsiębiorczy, pewien siebie, zwłaszcza znawcą w zwalczaniu cholery. Ale i w tyfusie używał środków radykalnych, czyli

złe lecząc od korzenia. Emilii Szczanieckiej rozpalone żelazo na głowę bez wahania przyłożył.

Rad lekarskich udzielał nawet zdaleka, listownie. Radzono go się wtedy, kiedy był na tulaćwie. Wtedy w liście zwykle kilka podawał sposobów, które choremu przynieść mogły ulgę lub chorobę usunąć. Od tych chorych listem wymagał nieraz odwagi, gdy im osobiście ducha dodawać nie mógł.

Zalecając dość bolesny sposób usunięcia złego, tak pisał:

»...Poznasz Pani, że na to trzeba odwagi. Anibym śmiało proponować tego, gdybym nie wiedział, że Polkom odwaga wrodzoną zaletą«...

Dokoła niego stał zawsze zastęp młodych lekarzy, niby to rzekomo jemu do pomocy, ale właściwie po to, żeby początkujący ci lekarze mogli przy Marcinkowskim się doksztalcać i zaprawiać do przyszłej pracy praktycznej.

Ujrzawszy przed sobą chorego, Marcinkowski był już tylko lekarzem. Nie patrzył, czy stoi lub leży przed nim swój, czy obcy, katolik, czy ewangelik lub żyd, widział przed sobą tylko cierpiącego człowieka — zarówno dobrze radził każdemu i starannie pielęgnował każdego. Zaświadcza to też Niemiec, hr. Armin, kiedy ministrowi odpowiada:

»...Doktór Marcinkowski był moim domowym lekarzem i poznałem go jako takiego, który jest w stanie iść w ogień, byle bliźniemu dopomódz; darmo pędzi dwadzieścia mil konno, aby wyleczyć biednego robotnika. Ale przytem jest najzapaleńszym w świecie Polakiem, i z tem się nie tai, że nam życzy, abyśmy sobie wszyscy poszli do dy...!«

Więc i przez to wzorowe pełnienie obowiązku zawodowego Marcinkowski jest dla nas przykładem niezrównanym. Kiedy już z trudem wchodził na ciemne poddasza lub wychodził ze sklepów wilgotnych, wtedy podprowadzać go musiano — a jednak pracował. Na strome szczyty wnosić się kazał, a cierpiącym ulgę niósł do ostatka.

Sztuka jego miała urok niezwykle. Zdawało się, iż samem spojrzeniem złe odpędzał, tyle pociechy i otuchy malowało się na jego twarzy. Prostaczkowie z ust do ust niesli wieść o »cudownych« jego uzdrowieniach.

I rzeczywiście trudno było pojąć, jak wątły i kruchy organizm chorego lekarza zniósł taką nad siły pracę, która i najzdrowszego wyczerpała.



Maska pośmiertna Marcinkowskiego.

Ale taką była jego siła ducha i wola nieugięta.

Ileż to razy w kruczą, straszną ćmotę¹⁾,
ileż to razy w zamieć, w krwawą słotę,
drżący cwałował z poratunkiem swym?
Iluż on matkom wrócił drogie życie,
Iluż istotom w samych lat rozkwicie,
Ileż pociechy Mąż ten przyniósł im?

¹⁾ Wyrażenie zachodnio-pruskie.

Jako Polak

Marcinkowski był bohaterem bez trwogi ni skazy.

Polsce służył na każdym kroku, każdą myślą, każdym czynem. Polskę kochał w każdym Polaku.

Walczył do upadłego, a kiedy upadł, nie wypuszczał broni z rąk.

Wierzył niezłomnie, iż nie jesteśmy przeznaczeni na zagładę, że nas nie zdławią, byleśmy tylko pracowali i oszczędzali.

Ufał, iż Polska ostoi się do czasu, gdy wszystkie narody uznają się za braci i gdy »władza tyranów, nadużyciem powagi Boga uświęcona, ustąpi przyrodzonemu prawu człowieczeństwa«.

Miłował Polskę, aż do zaparcia się samego siebie — i nie byłby przyjął pochwały, ani podzięków za to, co zrobił z poczucia obowiązku syna dla matki-ojczyzny.

Kiedy mu przyjaciele w dowód uznania, na dniu św. Karola 31. stycznia 1842, wspólną ucztę przygotowali, na urządzenie biesiady pozwolił pod tym tylko warunkiem, iż podczas obiadu zebraną zostanie składka na cel dobroczynny. Sam jednak na ucztę nie przybywa; druhom za życzenia wywzajemnił się swojemi życzeniami, które »w silnem uczuciu jego serce przepelniają«. Świadczą one o jego niezwyklej skromności, o tem, że patryotyzm jego oparty był na wielkim chrześcijańskim fundamencie.

»Boże daj, bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie: bym wyrzeczeniem się samego siebie doszedł do owej doskonałości, jakiej Zbawiciel świata po zwolennikach swojej nauki wymaga.

»Boże daj, by mi chęć pełnienia moich powinności nigdy nie zastygła, abym do końca mego życia wytrwał gorliwie w miłości bliźniego; by mi ciąglą podniętą mego działania było to zaspokojenie duszy, żem nie zszedł z toru prawego człowieka.

»Boże daj, aby pomiędzy nami na silnej podstawie miłości bliźniego wzrosło w błogie dla ludzkości owoce

plodne drzewo równości bratniej. Bóg nas stworzył bez różnicy: jednostajnym wszystkich znamieniem dał piętno obrazu i podobieństwa swego — to jest godność człowieka...

Oświata i praca — oto środki do utorowania potrzebnego gościńca. Zachęcajmy siebie wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych od nas Braci, ażeby przyszłe pokolenia do szczęśliwszej przyszłości usposobić, ażeby w nich ugruntować tę godność człowieczeństwa, bez której wszystkie zabiegi zginą, jak płonne marzenia.

Tak wołał Karol Marcinkowski w rok po położeniu podwaliny pod swoje wiekopomne dzieło.

Że nie lekkomyślnie szafował tutaj świętymi wyrazami: Polska, miłość Ojczyzny, że swoją miłość ziomek objął w szerszym znaczeniu »ludzkości«, to było w duchu czasu, to też i poniekąd ojcowska troskliwość i przeczorność, aby mu wrogowie istnienia Polaków nie zburzyli dzieła w zacytunku.

Że był »zabitym Polakiem«, to mu sami wrogowie Polaków przyznali.

Kogóż więc my, cały naród Polski, w Karolu Marcinkowskim czcić mamy?

Ideal Żołnierza — Lekarza — Patryoty.

Miłośnika ojczyzny, którego żalobny głos ludu zaraz po śmierci stawiał na równi z najdoskonalszymi. Gdy duch Marcinkowskiego

wzmógł się w nagród strony,
tam przez Kościuszkę został pozdrowiony,
tam uściśnięty za swych zasług trud!
Stamtąd też wspólnie z świętym Stanisławem
będą patrzeli okiem wciąż łaskawem
na utrapiony, bratni, drogi lud!

Takie słowa żal za zgasłym wywołał.

Czyż potrzeba szerszego a wymowniejszego świadectwa i miary zasług dla Polaka?

Karol Marcinkowski jest nam tedy:
Nauczycielem narodowej pracy,
Opiekunem i dobrodziejem młodzieży
wszystkich stanów i czasów,
Orędownikiem ubogiej ludności pracującej,
Lekarzem ran cielesnych i społecznych,
jest

ozdobą i pociechą ziemi naszej.

Pamięć jego żyje w sercu każdego prawego Polaka.
W »kościelach narodowych pamiątek« zaszczytne i poczesne ma miejsce.

We Wawelskiem Muzeum ze spiżu czy marmuru stanąć winien posąg Jego, jako wielkiego

Odrodźciela Narodu.

W Poznaniu, w pamiętny dziesiąty października 1912.

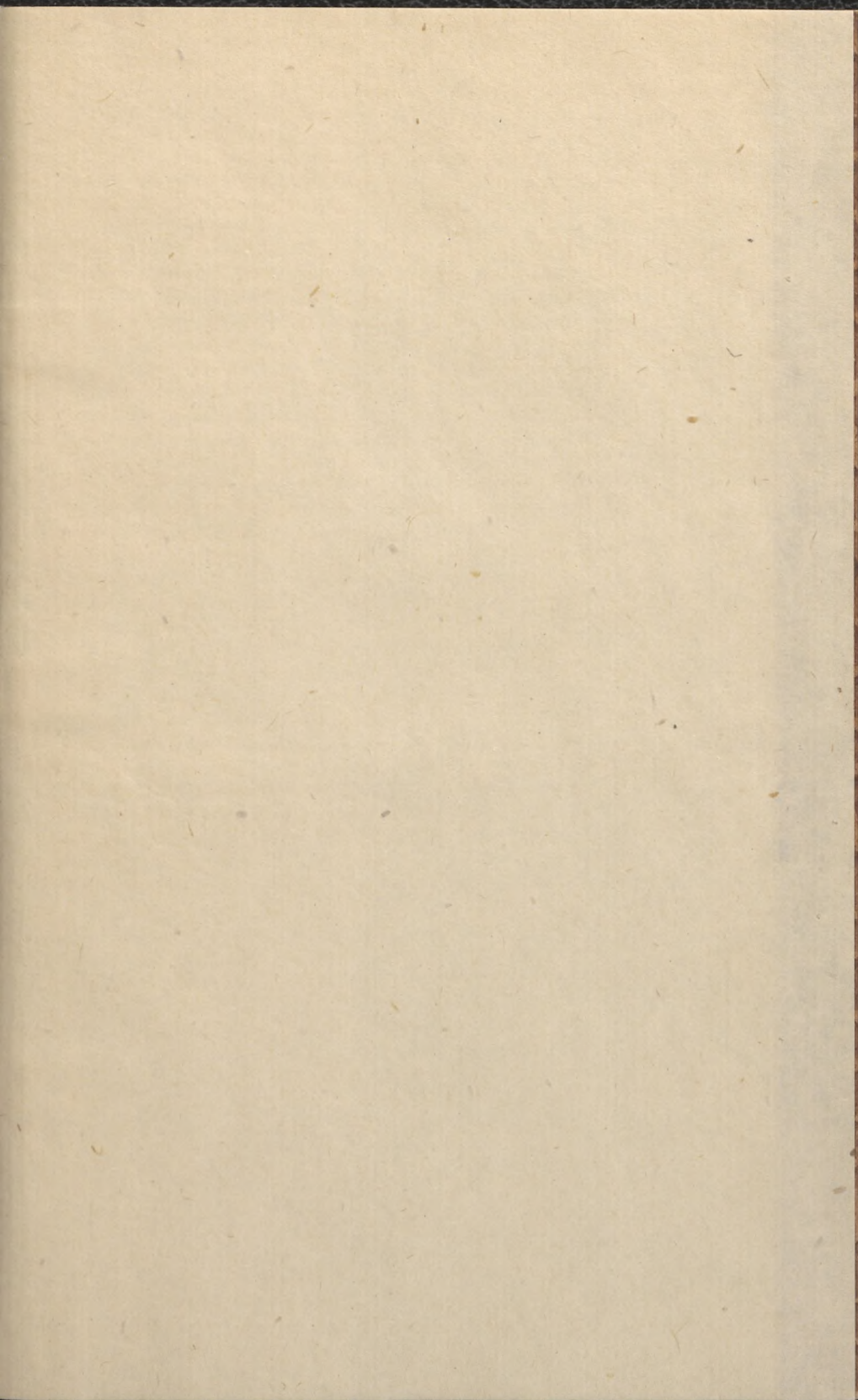


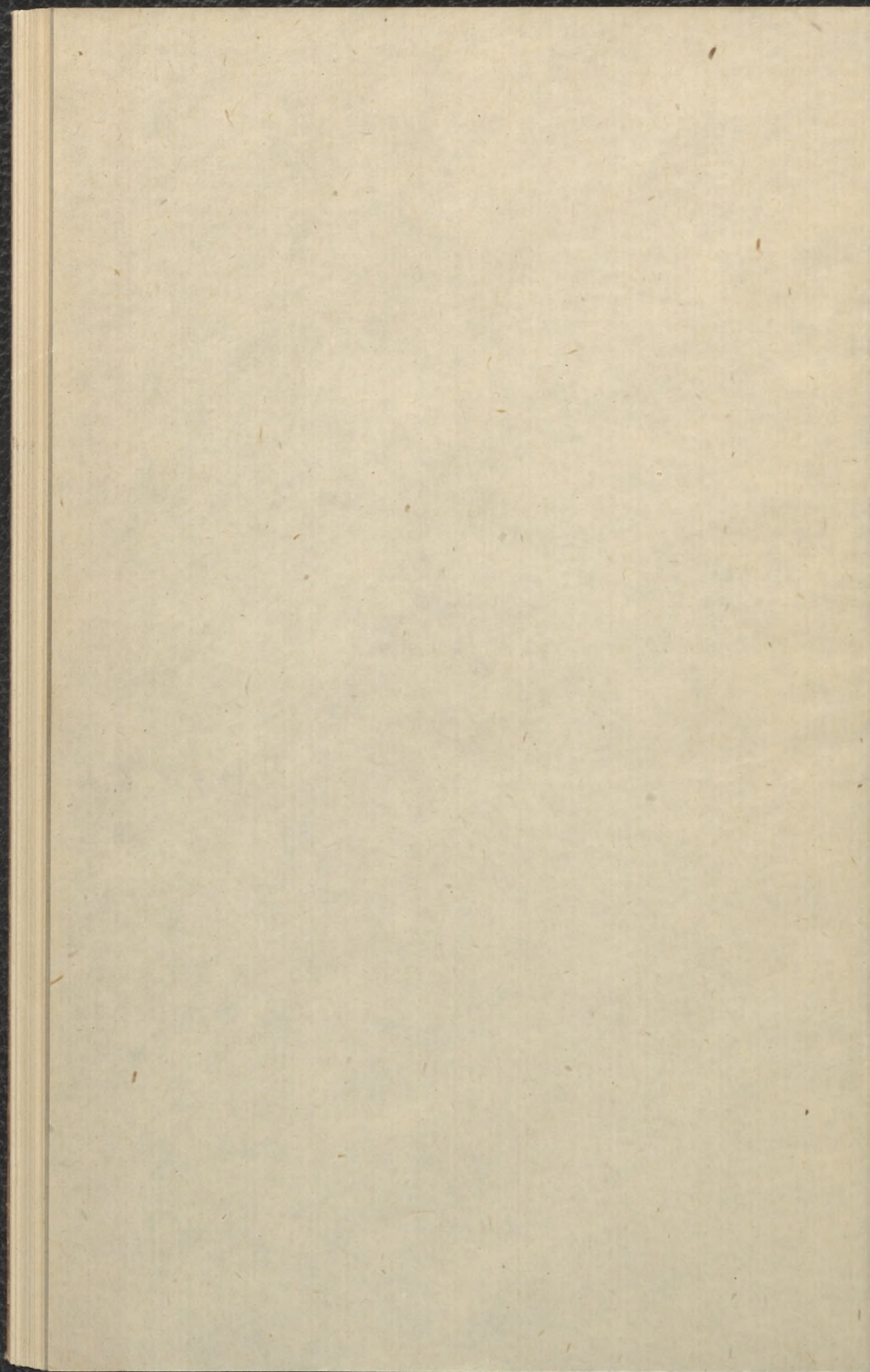
112

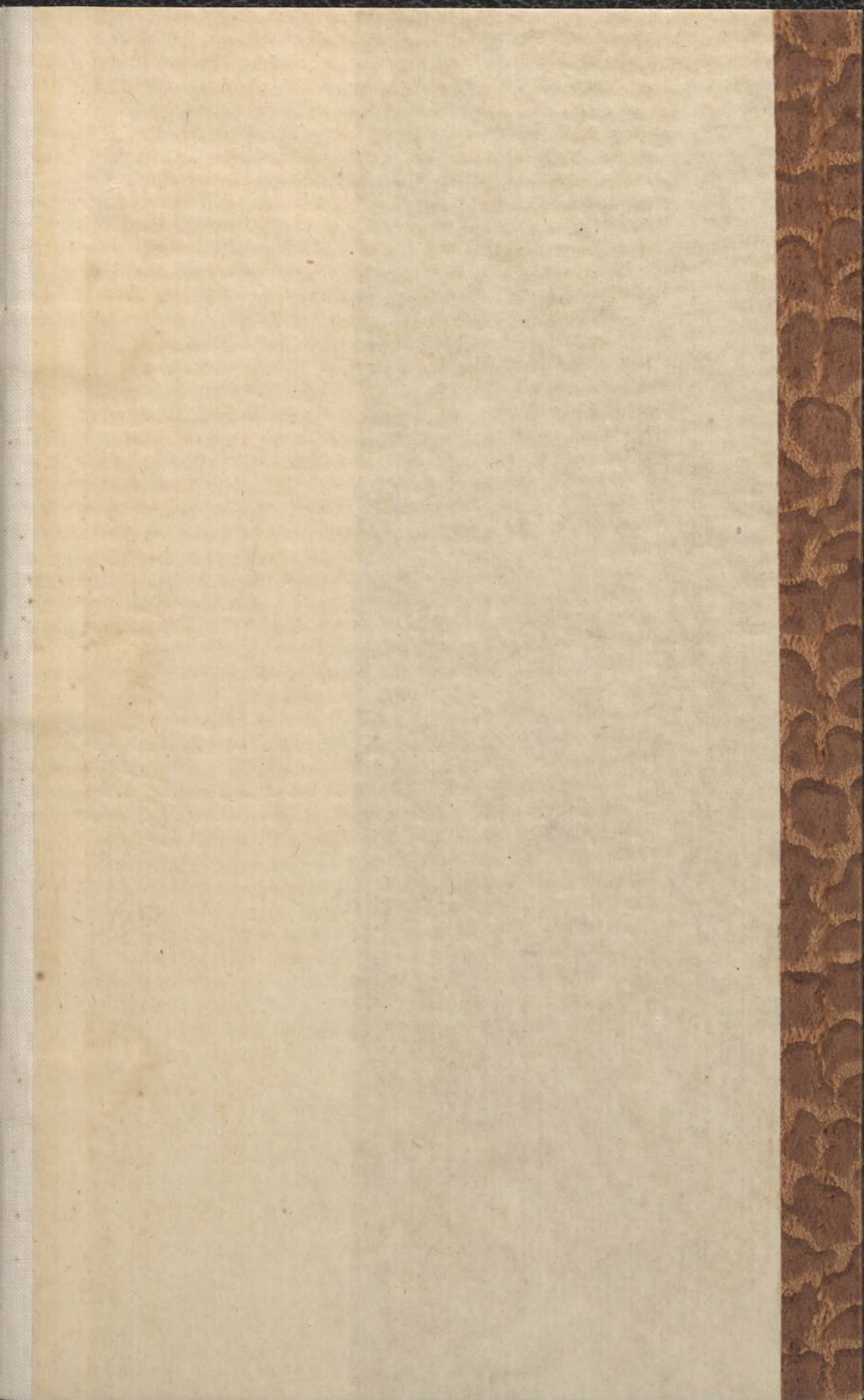
2. Budziszewski

27. XII. 49











BIBLIOTEKA
NARODOWA

95616
